1. Lipca. **Nr. 32.** 1868 roku

Wychodzi 1. 11. i 21. każdego miesiąca
(cztery arkusze druku.)

Cena:

kwartalnie . . . . . . 1 złr. 15 ct.
półrocznie . . . . . . 2 „ 30 „
rocznie . . . . . . 4 „ 60 „

Cena nn. z roku ubiegł. z przesyłką 60 ct.
— z dodatkiem 1 złr. 10 ct.

NOWINY

Listy *franco* przysyłać należy:
„Do wydawnictwa „**Nowin**" we Lwowie
w drukarni **Kornela Pillera.**

Reklamacje nieopieczętowane nie opłacają się.

Ekspedycja i prenumerata miejscowa
w Administracji „Gazety Narodowej."

PODOLANKA.

OPOWIEŚĆ KOZACKA.

II.

W szerokim stepie, nad rzeką Dnieprem rozłożony tabor kozaczy.

Zdaleka poznasz wolnych synów Ukrainy! Gwar, wesołe okrzyki, brzęk szabel i czarek, odgłos strón teorbanu i nuta smętnej dumki — wszystko to zlało się razem w cudną harmonję stepowej swobody, co jak Step szeroka, jak Dniepr pyszna, sławiła ród kozacki!

Koło ogniska, pomiędzy kotłami smacznej kaszy i jeszcze smakowitszej sywuchy, zasiadła gromada kozaków, wesoło baraszkując, jak zwyczajnie kozacy! Tylko stary Tymosz siedzi nie wesoły, długi wąs kręci i mruczy coś pod nosem.

— Co tak zadumałeś się? *pane-brate!* Wypij czarkę, będzie ci weselej! — rzekł jeden z kozaków, podając zadumanemu kufel palonej.

Tymosz przechylił czarkę, i niby nic, postawił koło kotła.

— Eh, bracia! Tymosza jak widzę, czarka już nie grzeje! niby wodę wypił, i jeszcze bardziej osowiał.

— Co dla niego sywucha! — dorzucił drugi kozak — czy to on mało przelał jej w sobie?! Jego by rozruszać zdołały tylko strzały tatarskie i przeklęta ich śpiewka: Allach!

Tymosz zadrzał.

— A co? nie mówiłem! na samo wspomnienie już mu coś opacznie... Co, panie Tymoszu, nie rozważysz z nami duszy?

— *Pohano, bratci!* — ozwał się Tymosz, ciężko westchnąwszy. — Czy tylko nie ma jakiego licha w Ukrainie? bo już nie darmo tak mi *motorosznie...*

— A kto wie — dorzucił kozak Semen, któren tylko fajeczkę cmokał, do rozmowy nie wtrącając się wcale. — Z naszem zasiedzeniem świat mógłby się zawalić, a nam by o tem i wieści nie było. Kat wie poco *łeżniem* tu leżymy, psując kaszę zadarmo!

— Prawdę mówi Semen! — potwierdził ktoś z hurtu — Stary watażka już przestarzał...

— Taki-tak! Czego oczekujemy? brzuchów po nad nosy i dziur w chołoszniach!...

Tu już wszyscy zahuczeli niby pszczoły w ulu.

— Chłopcy mołodcy! — przemówił Tymosz — nie po kozacku u was rzecz stanęła! Samiście obrali starszego — tož wam słuchać jego woli i przykazu. Stary Czupryna nie zaśpi — to darmo, i kozaczą sławę nie zaprzepaści! On teraz miarkuje...

— Rozumnie powiedziano — zawołał ktoś z gromady — jego wola! Wiadomo: obrany na starszego!

— Ta, to prawda, zwyczajnie... a przecież, ono wstyd siedzieć czort wie czego na stepie!

— Hej! gdyby też pohulać z *worohamy*, i przemyć szabelkę we wrażej posoce!

— Nie długo czekać na to — mruknął Tymosz. — Jakoś pohano się składa, i licho nie ominie...

— Abo co? Tymoszu! — hukněli kozacy, obstąpiwszy go wkoło. — Może wiesz o czem? Czy mówił Watażka?... — Ale nie starczyło czasu dla odpowiedzi. Inna gromada kozaków, z radośnymi okrzykami, wiodła gościa kozaka do taboru.

— Zdrów był, panie Spiso! — wykrzyknęli towarzysze, poznawszy sotnika w nowoprzybyłym — *słychom słychaty!* Co tam na Ukrainie?

— Źle bracia! — smutnie odrzekł Spisa.

— O! Czy Tatar poszedł zagonem?

— Zniszczył wszystko, i już pociągnął z dobytkiem...

— Więc nam pod nosem! — ryknęli kozacy. — I wieści o tem czort tu miał w kozactwie! Ot na leżuchów zeszli drantyhuzy, *spasybi* watażce... Het z nim do biesa!

— W pogoń, bracia, za tatarem! Nie dajmy kozaczej sławy na śmiech i urągowisko!

— Hurah! — odwtórzyło kozactwo, i w taborze wszczął się ruch niemały.

Z kurynia wyszedł Watażka.

— Co wrzeszczycie! — zawołał — przebraliście miarę?...

— Przebrali, z twojej łaski, panie Atamanie, i tobie sława pozwolili tatarom uciec nam pod nosem, jeszcze i ze zdobyczą!

— Jacy tatarzy? Powarjowali z roskoszy!

— A ot, popytaj pana Sotnika.

— A! *zdorow buw, druże!* Co cię od młodej żony do nas na step sprowadza?

Spisa poważnie skłonił się Watażce i kozactwu.

— Panowie mołojcy i ty bat'ku Atamanie! wysłuchajcie mię i udzielcie pomocy.

— Tatar, pohaniec, zdradą wkradł się w nasze zagrody, i pochód swój ruiną poznaczył. Wsie i miasta leżą w popiołach... krwi pociekła rzeka, i siła ludu zabrali do jassyru. Zamek mego teścia zdobyli, wszystko zrujnowali, moją niewiastę-żonę...

— Śmierć wrogom! — wykrzyknęło kozactwo, rozjątrzone opowiadaniem Sotnika. — Na tatara! do Krymu! do Krymu! — groźnie krzyczeli, wywijając ostremi szablami.

— A kto był z Ordą? — spokojnie zapytał Sotnika Watażka.

— Mahomet.

— Hm! już mi ten pohaniec... Ale pies ja, jeżeli mu sadła nie zaleję za skórę!

— Panowie mołojcy! — zwrócił się do kozaków. — Inaczej się myślało, a inaczej stało!.. Chciałem pohańców zapędzić do matni, a oni ponoś, figę wetknęli pod nos kozaczy... *Pohano,* ale nie przegrano! Nie zemknie sobaka!... a choć i legnie w budzie, to go wykurzymy, abo co...

— Hurah! — wykrzyknęło kozactwo radośnie, i tysiąc czapek leci do góry.

— W Krym! na tatarów! — wołają — Hurah Czupryna!

Watażka z uśmiechem zadowolenia lekko skłonił się kozactwu; a gdy nieco przycichło, rzekł:

— Do Krymu pójdziemy w dwa szlachy. Ja w stepie będę psów podganiał, a ty panie Spiso, poszukasz żony w budynkach Mahometa.

Spisa skłonił głowę, a w jego oku błysnął ogień, i ręka ścisnęła szablę, aż mu się w palce wpiła rękojeść.

— Hurah Watażka! hurah Sotnik Spisa! — krzyknęli kozacy. I za godzinę, stepowe syny, zginęli w trawach i burzanach; tylko odgłos pieśni kozaczej dolatał wód sinego Dniepru, i płynął w Czarne morze, by pocieszyć Sułtana wieścią o gościach w Krymie.

III.

W Krymie panami Chan i jego brat Mahomet — reszta sługi i ich niewolnicy. Słońce i księżyc: chan i brat jego, świecą Taurydzie, sławni groźną sławą swych pochodów, co trupy tylko i ruinę zostawiają po sobie.

Cudownej krasy pałac Mahometa, jeszcze cudniejsze w nim mieszkania, a jak sen roskoszne komnaty seraju! Marmur, złoto i drogie kamienie — wszędy; w powietrzu rozlana woń róż i jaźminów.

Pieknie tu, lecz smutnie, bo niemasz woli. A klatka, choćby złota, zawsze klatką, i śmierć w niej ptaszynie, kochającej swobodę!...

A mało-ż takich ptaszek, z całego świata, zamkniętych w haremie Mahometa? Żyją tęsknie, bez wspomnienia przeszłości, bez nadziei jutra!

Pomiędzy czarownem kwieciem Mahmudowego seraju, najpiękniejszą jest nowa branka, którą Mahomet przywiózł z lackiej krainy, dla której zapomniał wszystkie krasawice, napróżno wyczekujące jego gościny.

Smętnej Podolance nie do miłości Mahometa!...

W komnacie, ubranej z niewysłowionym przepychem, Tatarzyn i jakaś niewiasta.

Ona z powagą niewinności patrzy, i tem spojrzeniem przykuwa tatara do miejsca... On, okiem namiętnem tonie w krasawicy, a niewytłumaczona siła jej spojrzenia wzbrania mu przystępu.

O, co się stało z Mahmetem! nigdy jeszcze jego wola nie znajdywała dla się oporu — zapragnął i miał! a teraz...

— Co się stało ze mną! — zawołał, i podniósł hardą głowę.

— Hanno! — rzekł ciszej — nie wstyd mi, że z ust Machmeta pierwsza wyszła prośba w życiu... Ja, pan życia i śmierci wszystkiego jak zasięgnie oko — jestem twym niewolnikiem... Mów! rozkazuj! Na jedno twe słowo... Ja szaleję! Słuchaj: pierś moja była dotąd spokojną; serce w niej nie biło nigdy... O, spojrz chociaż raz przyjaźniej! Jestem synem dzikiego stepu, jak on dziki; ale i na stepie świeci słońce — i we mnie dusza jest i serce...

— Mahmecie! — z powagą rzekła Hanna. — Tyś człowiek; ty masz serce, sam powiadasz... Odeszlij mię do męża! proszę cię, błagam... — i osunęła się przed nim na kolana.

— Nigdy! — dziko wykrzyknął tatar — Każ mi świat zhołdować, powiązane króle rzucić ci pod nogi — wszystko zrobię! ale ciebie opuścić?... oddać innemu... W czyjej by głowie taka myśl powstała — śmierć mu! śmierć w straszliwych męczarniach!... Hanno! ja błagam ciebie... patrz, ja mogę uchylić kolan przed tobą, moją branką...

Hanna rzuciła nań wzrok pełen pogardy.

— Ha! tak to — porwał się z kolan Tatarzyn. — Dumna laszko! ty nie znasz jeszcze siły tej ręki, co światem zdołałaby zatrząść!... Hanno! Hanno! jedno spojrzenie przyjaźne, a ja się rajskich wyrzekam roskoszy... Ha, piekło! — i porwał na sobie ubranie, a paznokcie głęboko w pierś zapuścił.

— Chcesz tego... a więc — siła na siłę!

Hanna spojrzawszy nań ze spokojem, wychodzi z komnaty,

— Stój! nie odchodź z myślą, że przeciw tobie mógłbym użyć siły... Hanno! umrę z rospaczy, skonam jak pies tu, u nóg twoich; ale cię ztąd nie wypuszczę! choćby mi przyszło walczyć z całym światem — nie wyjdziesz za te mury! Pocoś się ukazała oczom Mahometa!... Idź już, idź! twoje łzy jak żar padają mi na serce i duszę palą... O, hańba! co się stało z Mahmetem!

Hanna wyszła, łzami zalana.

Tatar długo chodził po komnacie. W jego piersi — ogień! szeroko oddycha, a straszliwe dumy, jedna za drugą, zjawiają się na czole.

Godzina za godziną płyną; promień zachodzącego słońca zajrzał tatarowi w ręką przesłonięte oczy, i ocucił z zadumy. — Mahomet klasnął. Stary sługa stanął przed nim, skłoniwszy się nizko potrzykroć.

— Meri! Co robi branka?

— Płacze.

— Płacze... i tych łez ja jestem przyczyną!... Meri! co je osuszy z ócz tych jak światło dnia cudownych? — zawołał Mahomet, pałające lica chowając w obie dłonie.

Meri zbliżył się do tatara, i z piekielnym uśmiechem wycedził:

— Pocałunek...

Mahomet zadrżał i odchylił się od starca.

— Piekło w twych ustach Meri! Ale i ono tu na nic! Hanna mię nienawidzi, a przy niej siła mię odbiega!...

— Effendi! tu żadnej siły nie trzeba. Długą mam praktykę na dworze Chanów... I ułuda może dać roskosz równą rzeczywistości... — Znowu nachylił się nad Mahmetem, i cicho coś szepcze.

Mahomet słucha; a pierś jego opada, to wznosi się gwałtownie, ogień tryska z ócz i na smagłem licu rozlał się rumieńcem.

— Wieczór.. sorbety... — szatańsko szeptał Meri.

— Dość! dość! Meri, — Wina! Muszę w tym napoju gjaurów utopić mą pamięć... Przeklęta twa rada, ale jej

usłucham. O, już mi istnieć bez niej niepodobna!... Raj za raj! w tamtym takiej huryski nie znajdę!

Meri wyszedł, i za chwilę wrócił z koszem cypryjskiego wina.

Mahmet osuszył puhar jeden i drugi.

— Ałłach wielki, a Mahomet jego prorok! — źle uczynił, wzbroniwszy wina prawowiernym. Lżej mi teraz... w piersi przycichło... Teraz mogę zebrać myśli... Meri, twoja rada dobra!... Tylko śpiesz się! bo żądza roskoszy spali mię wpierw, niż jej zakosztuję. Kobiety wszędzie te same... Prawdę rzekłeś, starcze. Ja Mahomet! mojej woli wszystko powinno być posłusznem! Chociaż to będzie tylko złudzenie... Meri! Meri! dziś będę szczęśliwym! A gdy ja się cieszę — precz ze smutkiem! Pamiętać o straży i domownikach! Wydać im ucztę! Ty Meri, weźmiesz sobie trzy garście złota z mego skarbca! Lej, jeszcze puhar!

*

* *

W komnacie przybranej z roskoszą praktykowaną na Wschodzie, na złotogłowiu, wpół leżąc, branka Mahometa Hanna smutnie patrzy na stepy Krymu, za któremi jej raj pozostał. Resztki sorbetów widać w naczyniu złocistem.

Tęskno młodej brance w obczyźnie. Myślą wybiegła nad Dniestru wody: zamek w gruzach.. na marmurowej podłodze niezatarta krew ojcowska... Biada! biada! — A miły gdzie?... On nie zginął! kochające serce upewnia: on żyje... przyjdzie! wyrwie ją z niewoli...

Co to jest? tak mętno w oczach... w piersi miłe jakieś rozlewa się ciepło... Świat taki piękny... Senno...

Sto niewolnic czeka roskazów swej pani. Za najmniejsze uchybienie spotka je śmierć okropna.

Ujrzały snem rozmarzoną. Te w skoczne puszczają się pląsy; inne jej długie rozplatają warkocze i zdejmują suknie; a gdy już senna spoczęła na łożu — nikną jak lekkie widziadła. Woń kadzideł plącze się z akordami ukrytej muzyki, rajskie dźwięki płyną w powietrzu... A sercu tak lekko, tak swobodnie!...

Jakaś postać wychyla się z półcienia.

— Czy to sen, czy jawa?... Bohdanie! — I rzuca się w objęcia miłego, duszę z jego duszą łączy, bo on już jej, jej na wieki!

— Miły, drogi mój Bohdanie! jakżem tęskniła... Ale to przeszło. Tyś przy mnie! tyś mój!...

— Mahomet?... przysięgam! O, ty mi uwierzysz! — Boże! on tu! Ratuj, ratuj, Bohdanie! — I ocknęła się. O, czemuż nie zasnęła na wieki!

Przeciera oczy... nie wierzy samej sobie...

— On?... tu!... Mahomet?... Wielki Boże! — i skamieniała zgrozą i boleścią.

— Nie! to sen, straszny sen! To nie ja może... O! klątwa mi nieszczęsnej! — A oczy dziko jej zaświeciły.

Patrzy na się; dotyka rąk, twarzy...

— Nie! nie!

Zimny pot oblewa czoło, serce w piersi zamarło... zęby zgrzytnęły dziko, a łzy nie ma!

— To się śni... śni straszliwie! — szepcze nawpół obłąkana.

Mahomet uśmiechnął się we śnie, i rękę wyciąga jak do nowego uścisku.

Ozdobo Taurydy, Mahomecie! czyś ty na świadka zostawił swój kindżał, co lśniący cały leży na dywanie. Groźny to świadek, Machmecie!

Ale sen tatara roskoszny.

— Peri moja! — woła we śnie — Laszko czarowna!... — i ręką dotknął jej ręki.

Hanna skoczyła dziko.

— Ha! żmijo plugawa! nie dość ci było mąk moich...

Wzrok jej pada na kindżał... z dziką radością chwyta broń zabójczą.

— Giń przeklęty! — wykrzyknęła, topiąc stal w piersi Machmeta.

Dobra stal! przystała do serca tatarskiego — nienapróżno kochał ją tak Mahomet!

— Cha, cha, cha! Jak się ta krew leje... Wstań mój małżonku! pójdź po nowe roskosze! Cha, cha, cha, wstańże!

Z dziką radością patrzy na konwulsyjne ruchy konającego... Wreszcie z szalonym śmiechem, w ręku z okrwawionym kindżałem puszcza się w pląsy; a dalekie echo pałacowych komnat odbija śmiech jej dziki.

IV.

W pałacu Machmeta cisza. Upici haszyszem śpią prawowierni, marząc o roskoszach przyobiecanego raju — do którego o! wkrótce wyniosą się wszyscy!...

Opodal od zamku, chylcem przedziera się wojskowa drużyna; a w takiej ciszy, że pomyślałbyś, iż nie ludzie to, lecz duchy. Cytrynowe zarośla nawet cień ich kryją, słabo odbijający się od światła księżyca.

U czoła orszaku dwóch ludzi: konny i pieszy. Księżyc, który w tej chwili, z za chmur, twarz swoją wychylił, obaczył na głowie ostatniego czałmę tatarską.

Stanęli.

— Gdy zdrady chcesz zażyć — rzekł konny do tatara — o! to wiedz, że pierwszym pójdziesz na dno piekła.

— Atamanie — odrzekł cicho ten, któremu grożono — ja lat dwadzieście czekam tu na was... żądza zemsty serce mi wyjadła!... I ja byłem — nie pytaj: kim?... Teraz ja pohaniec! djabłu zaprzedałem duszę... Ale się zemszczę! na piekło przysięgam: krwawo im odemszczę! — Za mną! tym wchodem podziemnym dójdziemy do środka pałacu i w ciepłem łożu pochwycisz Machmeta!

Spisa, bo to był on, zadrżał na wspomnienie; skinął, i wszyscy ruszyli w milczeniu za przewodnikiem.

Za minut kilka zamek kąpał się w krwi tatarskiej! Krzyknąć nie dali kozacy, psa za psem szląc do piekła!

Tylko Meri ocknął się ze snu twardego, i pośpieszył na ratunek pana; ale mu w poprzek stanęła szabla Sotnika: tatar upadł na progu komnaty, do której wbiegł Spisa, a za nim wierne kozactwo.

— Hanno! — krzyknął Sotnik — i skamieniał.

Kozacy również stanęli, przerażeni.

— Kto tu?... Precz! cicho! Nie widzisz? śpi brat Chana, a ja tu stróżem jestem... i strzedz go będę wiernie! Cha, cha, cha! jak on śpi spokojnie!

I szklannem okiem patrzy na trupa i kindżał.

Za chwilę wzrok jej padł na Sotnika.

— Boże! — krzyknęła, i żelazo wypada z jej ręki — Bohdan!

— Hanno! — zaledwie przemówił Sotnik, i chwiejąc się, postąpił ku żonie.

— Precz! ja nie Hanna! Hanna umarła, a pozostała kochanka Machmeta, w której objęciach on usnął; patrzcie!... O, jak tu boli!...

— Czego tak patrzysz na mnie?... i ty, i wy, i oni tam!... Ha! serdeczny mój! to uścisk ostatni!...

Błyskawicą poskoczył Sotnik — za późno!... kindżał utonął w sercu Hanny. Konwulsyjnie objęła męża za szyję, szepnęła: »Boh... da... nie...« i skonała.

Spisa westchnął — raz tylko, i upadł przy żonie. Kozacy podjęli dwa trupy.

. . . .

Łuna pożaru wzbiła się wysoko nad pałacem Machmeta, aż ją w Carogrodzie widno.

Kozactwo dodom wraca z dobytkiem nie małym; ale nie słychać wesołej pieśni: tęskne dumy zawisły nad czołem kozaczem.

Na wysokim wozie leżą dwa trupy — to Sotnik z Sotnikową.

. . . .

Tysiące ludzi, wróconych z jassyru, cieszą się swem szczęściem; a nad rzeką Dniestrem wyrosła nowa mogiła, do dziś dnia wiodąca rozhowor z bujnym wiatrem stepowym.

O, dolo człowiecza! dla czego często bywasz tak okropną!

Koniec.

ŚWIAT I SUMIENIE.

Dramat w pięciu aktach

przez

TEOFILA SZUMSKIEGO.

Scena IV.

KONSTANTY (*sam*).

Tak, ludzkie nadzieje
Koniecznie muszą oprócz ludzkiej woli
Mieć coś ślepego. — Dzisiaj, los wyśmieje
I świat wyśmieje — a jutro, pozwoli
Los, byś go wyśmiał, a świat ugnie karku,
I nie wie czemu u nóg ci się nurza;
A jeszcze dzisiaj gdzie jak na jarmarku,
Za byle pieniądz prawo ci przysłuża
Kupić, jak towar, ludzkie przekonanie.

(*Z ironją*).

Toż ztąd ubogi popełnia bezprawie:
Nie ma czem płacić, a śmie mieć swe zdanie,
I robi wyłom w dostojnych ustawie;
Grosza nie dawszy, śmie mieć swoją wolę,
Bez stanowiska, zuchwała istota! —
Tak i ja idę zdobywać tę dolę;
Mogą mię zabić, nie wypchną za wrota.

(*Wychodzi*).

Źmiana sceny:

(*Ten sam pokój, co w akcie I. scenie I. w domu Pani Nałęcz*).

Scena V.

KAMILA, ADAM.

(*Kamila siedzi — Adam chodząc po pokoju, zatrzymuje się zapytany*).

KAMILA.

I cóż z Konstantym?

ADAM.

A! wzrasta w hardości
Ku przyjaciołom, ku całemu światu.

KAMILA.

Ale pan Adam...

ADAM.

Kocham bez zazdrości;
I jemum radził jak własnemu bratu,
Aby tak robił, ale... czasu szkoda.
Mnie to, na przykład — ciebie pani biorą,
Ale mąż stary, to wielka swoboda
Dla młodej żony; musi znieść z pokorą
Staruszek wszystko.

KAMILA.

Będziemy w przyjaźni,
Cóż w tem przykrego mąż upatrzeć zdoła?

ADAM.

O, taka przyjaźń starych mężów drażni.

KAMILA.

Znamy się dawno.

ADAM.

Ach! znałem anioła,
Ach, aniołkowi służyłem tak chętnie. —
Kiedy powiedział: „Chcę twojej miłości!"
I owszem, masz ją, kocham cię namiętnie! —
Lecz dziś, gdy pyta: „Kiedy u waszmości
Majątek będzie?" — odpowiadam smętnie,
Że będzie wkrótce, gdy pomrą babunie,
Skąpe stryjanki i czułe ciotunie;
Lecz już z anielskiej kwita znajomości.
Dziś cudzą żonę znam tylko, niestety!

KAMILA.

Niechaj, choć cudza, aniołem zostanie.

ADAM.

Pani pozwalasz?

KAMILA.

Nie znasz pan kobiety? —
Nie wiesz, że każda, w jakimkolwiek stanie
Chce być wielbioną.

ADAM.

Ale czy kochaną?

KAMILA.

Kochaną?... nawet.

ADAM.

Więc kochanek - drużba.

KAMILA.

Lecz cóż z Konstantym?

ADAM.

Jak mówię, dziś rano
Był nie przystępny.

KAMILA.
To nie dobra wróżba.

ADAM.
Czyż na pasierbie zależy tak wiele?

KAMILA.
Posądzać mogą, że to z mojej winy
Niezgoda z ojcem.

ADAM.
Ojciec inne cele,
A syn ma inne — a każdy przyczyny
Ma bardzo ważne. — „Synu! stanowisko,
Oto zbawienie“ — tak ojciec przestrzega,
A syn — że ono, miękką jest kołyską,
W której się pycha i zdrada wylęga.

KAMILA.
A pan co na to?

ADAM.
Ja słuszność przyznaję
Temu i temu, bo ludzka natura
Taka: kto lepiej a z wysoka łaje,
Temu posłuszni, to wielka figura!
Jak znów, gdy zapał opanuje serca,
Lecą, i wielkie te figurki łamią,
Krzycząc: „Ten zdrajca, a ów był bluźnierca,
Podnieśmy łzawych, bo tacy nie kłamią.“
Otoż tu znowu łezka unieśmierca.

Scena VI.

KAMILA, ADAM, ZŁOTKOWSKI.

ZŁOTKOWSKI (*wchodząc raźniej jak zwykle*).
Biegłem jak chłopiec.

ADAM.
Dokądże tak śpieszno?

ZŁOTKOWSKI.
Gdzie pani Nałęcz? — Potrzeba ratunku,
Bo mam rzecz nagłą, wcale niepocieszną.
Wszak ten Konstanty, jak gdyby od trunku
Jakiego szalał, honorem pomiata,
I proszę państwa tu się przyjść poważa,
Gdzie raz usłyszał, że nie dla warjata
Jest pana Zofja.

(*Zwracając się do Kamili*).

Dom państwa obraża.

KAMILA.
Jakto, tu przyjdzie?

ZŁOTKOWSKI.
Tak, i to niebawem.
Gdzież pani Nałęcz i co na to powie?
Czyż nie zapyta: jakiem on tu prawem,
Jakiem śmie wchodzić?

Scena VII.

Ciż, PANI NAŁĘCZ (*wchodzi z prawej*).

ZŁOTKOWSKI (*do Pani Nałęcz*).
Otoż! — Niech się dowie.
O, dobrze, dobrze że panią choć w porę
Uprzedzę jeszcze.

PANI NAŁĘCZ.
Nabawiasz mię trwogą.

ZŁOTKOWSKI.
Nie moja wina, to szaleństwo skore!
Idzie, ach pani, o istotę drogą,
O pannę Zofją... Czy już pozdrowiała,
Aby ją można wywieźć na dni kilka? —
Bo ten Konstanty, ta rodu zakała,
Spokojność mięsza... przyjdzie lada chwilka!
Radź pani, proszę.

PANI NAŁĘCZ.
A, to niegodziwie!
A ona chora, słaba, gdy usłyszy...

ZŁOTKOWSKI (*do Adama*).
Pan, jak przyjaciel...

ADAM (*do Kamili*).
Ja mu się nie dziwię.

KAMILA (*do Adama*).
Skończyć sprawunki pan mi towarzyszy?

ADAM.
Sługa, na wieki.

(*Podaje ramię Kamili i wychodzą*).

Scena VIII.

ZŁOTKOWSKI, PANI NAŁĘCZ — później ZOFJA
(*ubrana w bieli staje u wejścia z prawej, chwilami kryjąc się*).

ZŁOTKOWSKI.
Lepiej, że mniej osób —
Jest czas do czynu, nie ma do narady.

PANI NAŁĘCZ.
Już ich spotkaniu zapobiedz nie sposób,
Chyba... (*z wahaniem*) przemocą.

(*Zofja ukazuje się we drzwiach z prawej*).

ZŁOTKOWSKI.
Albo zatrzeć ślady
Jej przebywania. Jeśli jechać może,
Niech pani córkę dziś na wieś odwozi.

PANI NAŁĘCZ.
Cokolwiek zdrowsza, ja jednak się trwożę;
Wszelkie wzruszenie pogorszeniem grozi.

ZŁOTKOWSKI.
Ależ najgorsze miłośne spotkania.

PANI NAŁĘCZ.
Czyliż on mówić zechce z nią przemocą?

ZŁOTKOWSKI.
Ci ludzie dzisiaj bez poszanowania;
Najgorsze czyny pozorem ozłocą;
Na rzeczy grzeszne, powiedzą, że święte...
Czy pani słyszy?... bo ja słyszę kroki! —
Czasy i młodzież, i wszystko przeklęte.

Scena IX.

ZŁOTKOWSKI, PANI NAŁĘCZ, ZOFJA, KONSTANTY.

KONSTANTY (*wchodzi spokojny — spostrzegłszy najprzód Panią Nałęcz, zatrzymuje się, kłania i mówi z uszanowaniem*).
Lichego gościa przywiódł żal głęboki.
O! zechciej pani dać mym słowom wiarę:
Chciałem ze siebie zrobić już człowieka,
Jak dziś wypada — co za złoto stare
Serca się wyrzekł, choć młode, i czeka,
Bacząc czy złoto wznosi się lub spada;
Lecz bezskuteczne były chęci moje,
Sumienie głębsze, niż najgłębsza rada,
Ono mię wiodło, dla tego tu stoję.

PANI NAŁĘCZ.
I pan nazywasz to rzeczą sumienia?

KONSTANTY.
Gdyby nie ono, wszedłbym był tu skrycie.

PANI NAŁĘCZ.

Nie pojmę nawet jakie masz życzenia.

KONSTANTY.

Chcę cały ciężar, jakim jest to życie
Włożyć na siebie, chcę...

(*Spostrzegłszy Zofją mówi ciszej*).

Zofja! o dzięki!

PANI NAŁĘCZ (*idąc do Zofji*).

Ty tutaj, słaba!

(*Zofja usiłuje zbliżyć się do Konstantego — Pani Nałęcz i Złotkowski powstrzymują ją*).

ZOFJA.

Zdrowiem odzyskała,
I słabość była mniejszą od tej męki
Jaką dręczycie. (*Do Złotkowskiego*).
Czy w tem twoja chwała
Panie, że teraz odgrywasz tu rolę
Dozorcy więzień?

PANI NAŁĘCZ.

Ja proszę, kochana...

ZOFJA.

Na pół godziny chcę mieć tylko wolę
Własną, nie matki, ani tego pana;
Chcę, mam ją nawet; lecz wy nie pojmiecie,
Co to zrozumieć drugiego człowieka,
Którego poznać nie chciał nikt na świecie,
Prócz jednej duszy — a ten człowiek czeka!

PANI NAŁĘCZ.

Co tu poznawać, rozprawiać bez celu!
Czy pan Konstanty — chociażby nie świetne
Ma stanowisko?

KONSTANTY.

Nie — jak z ludzi wielu.

ZŁOTKOWSKI (*szyderczo*).

Lecz pewnie za to zamiary szlachetne.

KONSTANTY.

I szlachetniejszą nad wszystko cierpliwość.

ZŁOTKOWSKI.

Coż ztąd za korzyść?

KONSTANTY.

Nie sądź, — że bez renty;
Choć dzisiaj spadła cokolwiek uczciwość,
Lecz cały jeszcze kapitał jej święty,
A nim jest młodość! — Spojrzyj na tę panią,
Na pannę Zofją — oto serce młode,
Gdy twoje słowa szarpią je i ranią! —
I choćbyś nawet tu większą przeszkodę
Chciał jej wynaleźć — nie zwyciężysz duszy!
Bo ona do mnie przemówi i okiem.
Patrz, tam gdzie stoi, z miejsca się nie ruszy,
A o cierpieniu mówi mi głębokiem,
I że przebacza ludziom zaślepienie.

PANI NAŁĘCZ.

Zofjo!

ZOFJA.

Coż, matko?

PANI NAŁĘCZ.

Pomów z nim, odchodzę.

KONSTANTY.

Pani, tę łaskę jak dar z nieba cenię.

PANI NAŁĘCZ.

Któryś osiągnął na niegodnej drodze.

(*Wychodzi na prawo*).

ZŁOTKOWSKI.

Czyliż podobna?

(*Wychodzi za Panią Nałęcz*).

Scena X.

KONSTANTY, ZOFJA.

(*Zofja patrzy w milczeniu na Konstantego, któren stoi w miejscu jak wszedł, po chwili zbliża się szybko, opiera głowę na jego piersi i mówi*).

ZOFJA.

Konstanty, mój drogi!
Jaka-ż nam przyszłość?

KONSTANTY.

Bóg ją nam powierzył,
I nie odbiera, tylko duch złowrogi,
Duch czasu kalek, co zapał uśmierzył,
A nie rozwinął energji ni woli,
Tylko pozornych przemysłowców lalki.

ZOFJA (*ze smutkiem*).

I tak nam zostać?

KONSTANTY.

Tak zostać? — to boli.
Tak zostać, albo, stanąć znów do walki!...

(*Po chwili namysłu*).

Stanąć do walki? z kobietą bezsilną,
Z matką? — O! przebacz, zła miłości rada.

ZOFJA.

A ja nie mogę nic prośbą usilną
Na matce wymódz, o! biada mi, biada!

KONSTANTY.

Nic, nic nie możesz?

ZOFJA.

Nic — tylko chcę w dłonie
Ująć żelazne; nie dawnom słyszała,
Jak tu radzono, aby mię w ustronie
Wywieźć gdzie z miasta, — ale Bogu chwała,
Żeś mię wybawił. — Konstanty! jam twoja.

KONSTANTY.

Tak, duszą moja.

ZOFJA.

I na wieki z tobą.

KONSTANTY

(*przechodzi niespokojny zwolna i mówi*).

To pójdź! pójdź ze mną, niechaj wola moja
I twoją będzie.

ZOFJA.

I matkę żałobą,
I dom okryję?

KONSTANTY.

Tu dziewiętnastego
Wieku są ludzie, tu serce nie pęka.

ZOFJA.

O! nie sądź matki, ona nie chce złego,
Ją namawiają.

KONSTANTY

(*jak do siebie odchodząc w przeciwną stronę*).

Cicho... jakaś ręka
Budzi głos jakiś... Nie wszedłem tu skrycie,
Lecz wszedłem jawnie... i matka pozwala,
Rzekła... pomów z nim!...

ZOFJA (*na stronie*).

Jakież zacznę życie?
Biedni my, biedni!

KONSTANTY (*na stronie rozmyślając*).

Matka się oddala,
Bo matka wierzy... więc choć zła, a wierzy,
A ja, ten lepszy... zdradzam zaufanie.

ZOFJA (*zbliża się do Konstantego*).

Miłość mi chyba na pomoc przybieży.

KONSTANTY (*obejmuje Zofją*).

Pójdź! (*stanowczo*). Więcej wart jest jeden czyn śmiałości,
Niż o tym czynie nędzne świata zdanie.

ZOFJA.

Matka mię przeklnie.

KONSTANTY.

Ktoż naszej miłości
Dziś nie potępi?

(*Konstanty uprowadzając Zofją, która się nie broni, wychodzi jednak ociągając się*).

Uchodźmy, o droga!
A na sąd tylko oddajmy się Boga.

Koniec aktu trzeciego. (C. d. n.)

BYSIO KOCHA SIĘ!

HUMORESKA

przez

AURELEGO URBAŃSKIEGO.

V.

Syn marnotrawny.

Bysio, mimo że filozofji nie kultywował wcale, przedewszystkiem był filozofem. Jest nim bowiem w pierwszej chwili każden człowiek gorąco kąpany, poczuwszy nagle na sobie konewkę zimnej wody. I Bysia jakby zlano zimną wodą! Pobiegł do domu i rozmyśliwał:

— Więc to mężatka?... Niegodna! niewierna! Poszła za łysego, pękatego, starego! A jam myślał, że to dziewica, która mi pierwsze pączki kwiecia miłości ofiaruje!... Przeklęcie! Ale ten Piwonioski ma tęgą rękę!... Fe! Nie wiem nawet, jak mogłem tak się zakochać w tej kobiecie?... Ani tam wdzięków szczególnych, ani wyrazu w twarzy! Oczy mdłe, nos zadarty! A ja tak szalałem! I co to za imie?! Róża! Wielka mi rzecz — Róża! każda pokojówka nazywa się Róża. A co za nazwisko! Piwonioska! Piwonioska!

I zaśmiał się spazmatycznie... Po chwili zaczął nanowo:

— A przecież panna Lina daleko jest piękniejszą! Jaki blask oczu! Co za uśmiech! Prawda — nie widziałem go jeszcze, ale musi być czarujący! O tak! Czuję, że ją kocham prawdziwie, że ginę za nią, że bez niej żyć nie mogę!... Lina! Co za imie nadobne! L i n a — A l b i n a, L i s i a — B y s i a! O tak, jestem twoim na wieki!...

I porwał Bysio za list, który machinalnie uniósł był ze sobą po fatalnej owej przygodzie, rozpieczętował go i odczytał raz jeszcze, a nie znalazłszy w nim ani razu wymienionego imienia Róży, pomyślał sobie, że tenże i do panny Liny stosować się może. Zmienił więc tylko kopertę i dodał następującą odę:

Oda do Liny.

Po burzach żywota *)
Śpiesząc do przystani,
Wiem ja co tęsknota
Poznawszy Cię, Pani!
Dziś wiem, co to miłość,
Co losów zawiłość,
Pociesz mnie, o Lino,
Po spokoju stracie,
Lub w przyszłą godzinę
Śmiercią zginę dla Cię!...

Albin.

Jak widzimy, Bysio był jednym z tych poetów, *qui nascuntur,* według łacińskiej definicji, gdyż ody miał na zawołaniu; a to tem bardziej uderza, że Bysio niczego się nie uczył... Najczęściej jednak tak się jakoś trafia, że im mniej się ktoś uczy, tem więcej wierszy pisze! Jenjusze gardzą cudzą strawą umysłową, oni z kolebki wynieśli już cel swój jasno wytknięty, by sami niczego się nie uczywszy, uczyć drugich!

Bysio zapieczętował list i odę, i wybiegł na dziedziniec.

O n a siedziała w oknie i haftowała kapczuczek dla papy rotmistrza.

Bysio stanął — Ona spojrzała... Bysio spojrzał — Ona wstała... Bysio podskoczył — Ona okno przymknąć zamierzyła... Bysio jednak zdobywszy się na ostatni wysiłek odwagi, rzucił jej bilet przez okno i — uszedł zapewne?... Tak jest! Bysio uszedł i pobiegł jak wówczas w świat za oczy powierzyć tajemnicę serca swego bukowym olbrzymom K a i z e r w a l d u i stawkowi na Ż e l a z n e j W o d z i e i romantycznym lasom P o h u l a n k i.

Bysio był znowu szczęśliwy, gdyż zapomniał o pani Róży, z zadartym noskiem i o jej mężulku z potężną prawicą. Bysio jak syn marnotrawny w Piśmie św. powrócił skruszony od pierwotnego przedmiotu swojej gorącej miłości, co go nader uspokoiło na sercu i sumieniu!

VI.

Pierwsze i ostatnie Rendez-vous. Katastrofa. Fuga.

Tydzień Bysio daremnie wyczekiwał na dziedzińcu; panna Lina w oknie nie pokazywała swej uloczkowanej główki. Tydzień ten wydał mu się kompleksem średnim nieskończenie długich wieków. Bysio tymczasem coraz goręcej się kochał, i coraz więcej płodził poematów... Co więcej przez ten czas Bysio z wielką mozołą odkrył prócz dawniej wynalezionego rymu A l b i n a, jeszcze jeden rym do Liny, który wydawał mu się znakomitym, i którego zanotować zaraz nie omieszkał — oto: b r z o s k w i n i a.

Raz wprawdzie widział Bysio zdaleka pana rotmistrza z nadobną jego córeczką na Szerokiej ulicy; lecz zanim ich dopędził, znikli w jednej z rzędu kamienic. Zdawało mu się tylko, że ona się obejrzała i uśmiechnęła, poczem szepnęła coś papie, któren także się odwrócił, strasznego jednak nasrożył marsa.

---

*) Tu potarł lewy policzek. *Pr. aut.*

Tak minął tydzień cały...

Pewnego wieczora, gdy już słońce zaszło na niebios lazurze i cienie nocy powoli obejmować poczęły matkę ziemię w pokrewne swe objęcia, Bysio rozmarzony wyszedł na dziedziniec i nie ujrzawszy znowu twarzy swej bogdanki w oknie, zadumał się srodze i ze spuszczoną głową ku ziemi, o ile tego zmrok dozwalał, liczył kamyki ręką ślepego losu tu i owdzie porozrzucane. Wtem...

— Aha — pomyśli sobie czytelnik — otoż i owa zapowiedziana katastrofa! Oko czytelnika rozjaśni się blaskiem zadowolenia, że raz już będzie koniec całej historji i całej ramotki!

Nie uprzedzam jednak wydarżeń...

Otoż zdawało się Bysiowi, jakoby u furtki, prowadzącej do ogrodu, jaki w ogóle niezbędną jest akcessorją każdego dworku na Zielonem... że zatem u furtki mignęła biała sukienka.

Jednym skokiem był w ogrodzie... Nieba! Nie zawiodło go przeczucie... to ona!... ona sama!... ona — s a m a j e d n a!...

Panna Lina przebiegała drobną nóżką zarosłe trawą ścieżki, nucąc sobie zcicha jakąś piosenkę...

Bysiowi serce uderzyło jak młotem...

Teraz — lub nigdy!...

I chciał podbiedz, rzucić się do jej stóp drobnych, i wyznać: co mu jeszcze serce tłoczy i patrząc w jej lube oczy przysiądz, że za nią szaleje, i błagać o miłość, wiarę i nadzieję... Chciał, lecz nie mógł... serce groziło rozsadzeniem piersi... myśl rwała się na przód, a nogi jak dwa olchowe kliny wbiły się uporczywie w ziemię... Bysiowi brakło odwagi...

Lecz cóżto? Panna siadła nagle na darniowej kanapie i dobyła zwitka papieru i do ust przyciskać go poczęła, tak namiętnie, tak gorąco, jakby to był kawałek sera szwajcarskiego, za którym Bysio przepadał.

Miałżeby to być ów list Bysia?...

Serce mniemanego autora tego pisma było już blizkiem eksplozji. A przecież nogi, jak się zaryły, tak też i stały na miejscu, jak owo słońce niewzruszone, około którego obraca się, jak powiadają, cały system planetarny!

I trwało to dobre pół godziny... Wieczór zapadł głęboki, i ciemno było w ogrodzie... Nagle panna obejrzała się, a zerwawszy się z darniowej kanapki pobiegła naprzeciw stojącego Bysia, któremu krew z serca uderzyła Niagarą w pięty, a ztamtąd z podwójna siłą pomknęła na powrót...

— To ty J a n ò s! — zawołała — Niedobry! Tak długo czekałam!... — Ha!!!...

Gdy powieściopisarz napisze h a!!! i doda trzy wykrzykniki, znamieniem jest to nieomylnem czegoś niespodziewanego. Toż samo i tu miało miejsce.

To h a!!! oznacza, że panna poznała swą omyłkę i odskoczyła jak oparzona.

— Aniele! Królowo! Bóstwo moje! Ja to jestem, ja, któren szaleję za tobą, któren cię ubóstwiam i błagam u stóp twoich o przebaczenie i nadzieję — jęczał zsunąwszy się na kolana nasz bohater.

— Warjat, na pomoc! — krzyknęła ubóstwiona.

Wtem za plecami klęczącego Bysia zawył kundys, zadzwoniły ostrogi i zateremtetował groźny głos rotmistrza.

Bysio zerwał się na równe nogi... Rotmistrz z latarką w ręku stał przed nim!

Powiedzcie mi szanowni państwo, cobyście uczynili w podobnym przypadku i w takich okolicznościach?... Widzę po zaambarasowanych twarzach waszych, iż nie myli mnie moje przypuszczenie; rozumiem myśli wasze... I Bysio zrozumiał także swoje położenie — zerwał się i puścił na przełaj przez ogród. Za nim pomknął klnac rotmistrz, za rotmistrzem w sukursie kundys, warcząc złowrogo.

Steeple-chaise nie trwało długo; Bysio dojrzawszy w ciemności, iż parkan przedzielający ten ogród od następnego w jednem miejscu uszkodzony, i o kilka desek niższy, śmiałem *salto mortale* był już na drugiej stronie! — Za nim rozjątrzony rotmistrz. Tu jednak los nieprzyjazny rzucił Bysiowi rów pod nogi, który pozbawił go nagle równowagi. Bysio zarył głową w błoto; przykrył go klnąc na czem świat stoi, tuż za nim zdążający prześladowca; przez rotmistrza przekoziołkował się kundys.

Jedna ostroga rotmistrza wryła się głęboko w udo nieszczęsnego kochanka, podczas gdy druga zrobiła bliższą znajomość z jego nosem. Zerwał się Bysio, prawicą chwyciwszy się rozdartych pantalonów, a lewą trzymając się rozoranej ostrogą ozdoby swej twarzy — i popędził dalej... Obaj prześladowcy za nim!... Drugi parkan wstrzymał jego zapęd... Drugie więc *salto mortale...* i drugi koziołek! Zerwał się znowu — i słucha...

Po tamtej stronie parkanu rotmistrz klnie siedząc na ziemi i naciągając wywichniętą nogę, a kundys wyjąc piekielnemi tony rozpaczliwie drapie o deski parkanu...

— H o p A z o r, h o p! — zagrzmiał wśród klątw chrapliwy głos rotmistrza.

Bysio rozpaczliwem natężeniem przesadził trzeci parkan i odetchnął wolną piersią...

Oglądnął się w koło... Istny labirynt pniów i krzaków... Oczewiście sad, sad cudzy!... Przebóg! gdyby go wzięto za jednego z owych obywateli, którzy nie chcą znać dokładnej różnicy między: m o j e, a t w o j e!...

Księżyc wyjrzał z za chmurki... Na lewo zarysowała się oficyna któregoś z dalszych dworków... Bysio ostrożnie śledzić zaczął za furtką, którą mógłby się dostać na dziedziniec. Otóż i ona...

Wielkie nieba! furtka zamknięta!

Leźć — czy nie leźć?... *This i's question*!

Bysio zatem począł rekognoskować teren swego działania...

Wtem dziwny jakiś odgłos uderzył jego ucho... Zrazu zdala, potem coraz bliżej dochodziło go jakieś tajemnicze mruczenie; Bysio oglądnął się tworzliwie... Ha! — kundys rotmistrza przesadziwszy wszystkie parkany tuż-tuż dopadał jego drzących łydek... Obok stała rozłożysta lipa...

Bysio jednym susem siedział już na drzewie...

Kundys dopadłszy pnia i skacząc około niego zawył głosem stu szatanów i białe ku niemu wyszczerzył zęby...

Bysio zadrżał... Przeklęte psisko dłuższem wyciem sprowadzić mogło do ogrodu całą czeredę lokatorów...

Bysio zatem w pewnej wysokości drzewa, siadłszy na gałęzi oglądnął się wkoło szukając ratunku... Daremnie! W górze niebo i księżyc, który znowu jakby szydząc z

jego nieszczęścia, schował się za chmurę — w dole zajadły czworonóg o dwóch rzędach kłów ostrych jak brzytwy!

Jeden tylko ratunek był możliwy.

Vis-à-vis gałęzi, na której siedział nasz bohater, i omal o nią przypierając, wznosił się mały balkonik; prowadziły doń drzwi uchylone... Gdyby tam się dostać, a ztamtąd... *Audaces fortuna juvat*!... Wszak i Cezar przeszedł Rubikon!...

Bysio zaczął się powoli posuwać ku końcowi gałęzi... Ta ciężarem przygnieciona poczęła się uginać i trzeszczeć złowróżbnie... Bysio jednak powoli a ostrożnie uskuteczniał dalej karkołomne swoje przedsięwzięcie...

Po zajęczych potach, jakie oblewały skroń naszego bohatera i nadludzkiem prawie wysileniu, Bysio dotykał już ręką poręczy balkoniku, gdy nagle głos odezwał się w pokoju: Czy licho psa nadniosło!.. Drzwi się otworzyły i na balkonie ukazał się człowiek w czapeczce włóczkowej z cybuchem w ręku...

Księżyc wyjrzał ponownie z za chmury...

Bysio znalazł się nagle oko w oko z groźną fizyognomją pana Piwoniowskiego:

— Ha! Tędy teraz probujesz! — zagrzmiało z ust rozwścieklonego argusa.

(Bysio uciekając ogrodami dostał się aż za Kręcone Słupy do oficyn pomieszkania Pani Róży)!

Tego było już nadto! nad jego siły!... Bysio puścił z rąk gałąź i usunął się na ziemię...

Runął...

Epilog.

Bysio tej nocy wypoczął po przebytych trudach w *corps-de-gardzie* na placu Chorążczyzny... a nazajutrz przybywszy do siebie znalazł panią Pawłowę w spazmach i utyskującą na złość ludzką, która sprzysięgła się na biednego jej jedynaka.

Pan Piwoniowski i rotmistrz, którzy przed pojawieniem się jeszcze Bysia złożyli przed nią swoje zażalenia, pożegnani zostali potokiem słów gorzkich, których nie szczędziła rozjuszona lwica w obronie ukochanego i jedynego swego płodu.

— Pójdź Bysiu i zbierz się! Porzućmy ten Lwów, który cię tylko popsuje! Edukacja twoja skończona!... Wrócimy do Kałużyniec, a tam ożenię cię w sąsiedztwie z córką pana prezesa, która otrzyma trzy folwarki w posagu!...

W kilka dni później pani Pawłowa i Bysio mieli już Lwów za sobą, to gniazdo Belzebuba, gdzie tylko psują młodych ludzi i dokończyć nie dają edukacji!...

Koniec.

O wystawie sztuk pięknych w Paryżu.

Jeżeli trudno jest w ogóle robić sprawozdania z wystawy obrazów temu, któren nie będąc malarzem z fachu, lecz tylko amatorem, musi kierować się w swem ocenieniu nie technicznem wykształceniem, a tylko uczuciem, tylko ogólnemi na sztuki poglądami, — to rola ta staje się dziesięćkroć trudniejszą, gdy potrzeba pisać o takiej, jak tegoroczna wystawie, o której możnaby powiedzieć słowami Krasickiego: „A o Ryczywole zamilczeć wolę!...“ — Bo co pisać, co mówić, jaki sąd można wydać o wystawie, gdzie na cztery blizko tysięcy obrazów zaledwie jest kilka niegorszych portretów, parę historycznych obrazów, o pewnej biegłości artysty świadczących, kilka niezłych pejzażów, pod któremi znajdujemy nazwiska malarzy ustalonej wziętości; a nad to wszystko, nad to, co nie przechodzi kresu mierności, zgoła nic nie ma, coby uwagi było godnem?!... Jakoż, gdyby nie dane przyrzeczenie napisania o wystawie do "Nowin," gdyby nie uwaga, że cofać się od przyrzeczeń chyba za obopólnem porozumieniem się godzi — oszczędziłbym sobie tej pracy, która w rezultacie, jak dla mnie, tak też i dla czytelnika wątpię, by jaką moralną korzyść mogła przynieść.

Niezawodnie, że rzecz miała by się wcale inaczej, i rola moja byłaby wdzięczniejszą, gdybym, odsuwając na stronę wszystkie względy, jakiemi zwyczajny śmiertelnik musi się kierować w wyrokowaniu o obowiązkach ludzkiej działalności, mógł i chciał utwory malarstwa ocenić technicznie, wykazując wady lub zalety rysunku, kolorytu, gry światła i cieni i t. d., nie pomijając nawet kompozycji obrazu, a to stosownie do regulaminu, wypływającego z zasady: „Sztuka dla sztuki.“ — Gdy przecież ani jestem fachowym, ani zwolennikiem owej zasady, z dniem każdym tracącej wiarę u ogółu — nie mogę się zgodzić na to, by sztuka miała stanowić jakąś całość w sobie zamkniętą, od powszechnego życia oderwaną, w samej sobie zawierającą cel, według którego potrzeba ją ocenić, bez względu na warunki życia, na potrzeby społeczeństwa, wśród którego się objawia.

Takie pojęcie sztuki i takie jej stanowisko mogły się ostać kiedyś, wśród mniej rozbudzonego życia, w obec mniej rozpowszechnionej oświaty, przy większym ludzkości ucisku, — kiedy wszystkie korzyści społecze zmonopolizowane na korzyść mniejszości, robiły ze sztuki rzecz zbytku i roskoszy. Lecz dzisiaj ani takie stanowisko jest podobnem, ani takie pojęcie usprawiedliwionem być może. Sztuka, jak wszystkie inne objawy ludzkiego postępu, musi mieć przeznaczenie cywilizacyjne, musi się zespolić z życiem, musi, wszedłszy w skład czynnych jego pierwiastków, w niem, a nie gdzie indziej, a nie po za niem, szukać celu dla siebie. Był czas, kiedy pod wpływem analitycznego kierunku, w jakim się rozwijał umysł ludzkości — wszystko zdążało do wyosobienia się, do zajęcia stanowiska bezwzględnego, mało bacząc na stosunek do życia, na praktyczne rezultaty. Gardząc rzeczywistością i jej warunkami, uganiał się idealny niemiec po uroczych krainach abstrakcji za absolutną prawdą, pilnując się tylko prawideł subtelnej dyalektyki; nie znając natury ludzkiej, a kierując się rozmiłowaniem w jakiejś idei, układał swe systemata polityczny utopista, przestrzegając, by wszystkie ustanowienia i węzły społeczne konsekwentnie wywijały się jak z płatka z postawionej u góry idei, mało bacząc, że wśród nich braknie oddechu piersi ludzkiej. Wtedy też powstała i owa zasada estetyczna: „Sztuka dla sztuki“ — zasada, która odmawiając stosunkom życia ludzkiego strony piękna, zaledwie zaród tego ostatniego dopatrując w faktach dziejowej doniosłości, mogła być wystarczającą dla szkoły romantycznej, ale nie może być przyjętą, a przeciwnie musi być odrzuconą przez sztukę dążącą do zajęcia stanowiska narodowego.

Tak rozumiejąc sztukę, będąc przekonanym, że nie pierwiej sztuka odpowie swemu zadaniu, aż się uobywateli, aż stanie do służby narodowej, jak to uczyniły już nauka i cnota, przyszedłszy do przekonania, że wtedy tylko występują we właściwym sobie charakterze, gdy się zespalają z życiem, — muszę inaczej, jak to się dzieje, zapatrywać się na przeznaczenie wystawy sztuk pięknych, muszę czego innego, niż to jest zwyczajem, wymagać od utworów dzisiejszych artystów. Jak głęboki i śmiały w swych wnioskach, ale sofistyczny w zasadzie systemat idealnej spekulacji; jak dowcipna i konsekwentna, ale w gruncie niepraktyczna utopia polityczna mało dzisiaj obchodzą ludzkość, zaabsorbowaną troską o życie, o zbadanie jego warunków i pogodzenie się z niemi, — tak mnie mało obchodzą i wcale nie zdołają zająć owe dzieła artystycznej biegłości, które jeżeli dziwią doskonałością formy, to więcej jeszcze — ubóstwem myśli i brakiem zupełnym natchnienia.

Co się tyczy przeznaczenia, jakie wystawa sztuk pięknych mieć powinna, i nigdy go z uwagi nie tracić, to sądzę, że jeżeli ważną jest rzeczą zachęcać mocujący się z trudnościami talent, ożywiać sytą sławy i tryumfów osiągniętych pracą, wyrabiać w ogóle uczucie piękna w jego formie zewnętrznej — ważniejszą jest przecież podnieść zadanie życia do wysokości piękna, wykazać: ile w pozornym bezładzie prozaicznego życia ukrywa się poezji, ile szczytności jest w cichej walce serca z obowiązkiem — wyrobić w masie ludzkości uczucie piękna moralnego. Dla tego też wystawę sztuk pięknych, jak również galerje obrazów, stawię na jednej linji z teatrem, wszystkie je uważając za instytucje, które: za główny swój cel mają przyczyniać się, każda we własnej mierze i w stosownym kierunku, do uobyczajenia społeczeństwa, uszlachetnienia jego stosunków. Szyller pisał listy o wychowaniu estetycznem człowieka, nasz Libelt stawi osobną gałęź estetyki, pod tytułem: „Estetyka życia.“ Owoż wystawa sztuk pięknych powinna być instytucją, której zadaniem: przeprowadzenie piękna w życie codziennych potrzeb.

Te są wytyczne punkta, podług których orjentowałem się w swej wędrówce po wystawie tegorocznej sztuk pięknych; takie jest stanowisko, z którego będę wyrokował o wszystkiem, co na wystawie owej znalazłem. Jeżeli sąd ztąd wynikły będzie za surowy — nie moja wina. W każdym razie na poparcie go mogę się odwołać do dzienników francuzkich, które jeżeli są łagodniejszemi, bardziej pobłażającemi dla dzisiejszej wystawy, to dla tego, że z innego na nią zapatrują się stanowiska, innemi względem niej rządzą się wymagalnościami.

Powiedziałem wyżej, że wystawa tegoroczna nie zawiera w sobie nic, coby przechodziło skalę mierności, coby wykonaniem zdradzało rzeczywisty talent, pomysłem: prawdziwe natchnienie; coby będąc dziełem obywatelskiego ducha artysty, głębokiego przejęcia się zadaniem ludzkości i potrzebami swego narodu, zdolnem było rozrzewnić, do refleksji pobudzić, zdolnem było dotrzeć wrażeniem do głębin ducha naszego, dokonywując w nim wtrząśnienie, po którym człowiek czuje się lepszym, zeznaje się mędrszym. Jakoż pisząc o niej, nie podobna wdawać się w szczegóły, niepodobna zastanawiać się nad pojedyńczemi utworami, które nic szczególnego w sobie nie zawierają, nic, coby mogło zająć fantazję, zatrzymać na sobie myśl poważniejszą. Tę trudność zwyczajnego sprawozdania doznają sami fachowcy oceniając dzieła sztuki ze strony czysto technicznej; tem większą muszę napotykać ja, któren stroną techniczną, niezaprzeczając całej jej wagi, a znając jej konieczność, stawię, ze względu na stanowisko, na planie drugim, na pierwszym kładąc to, czego w żadnem prawie okazie tegorocznej wystawy nie znajduję — pomysłu, wiążącego się z życiem za pośrednictwem uczuć bijących w piersi dzisiejszej ludzkości, za pośrednictwem jej pragnień, obaw, nadziei, cierpień, myśli... tego wszystkie, co stanowi treść życia, z czego się uplata pasmo dziejów tego świata. I nie inaczej można sobie w tym razie zaradzić, jak, sprowadziwszy całą mnogość obrazów wystawy do kilku kategoryj, mających osobne cechy, o każdej z nich powiedzieć, co można i potrzeba, by przezto wykazać jak charakter wystawy, tak też stanowisko, jakie współczesne, a przynajmniej tegoroczne zajęło malarstwo.

Przystępując do głównego przedmiotu mej rzeczy, zacznę od opisania karykatury, w jakiej jedno z tutejszych pism humorystycznych przedstawiło tegoroczną wystawę. Cały dowcip tej karykatury polega na właściwem ugrupowaniu obrazów, stanowiących cechę wybitną malarstwa, ubiegającego się o nagrody. Karykatura wyobraża ścianę, zawieszoną obrazami. Środkowe i naczelne między niemi miejsce zajmuje ogromny obraz, z którego ram wychodzi sześć do ośmiu głów oślich, rzędem jedna obok drugiej umieszczonych. Po nad tym obrazem, po jego bokach i pod nim umieszczone są inne, wyobrażające nagie kobiety, w najrozmaitszych, jakie tylko można pomyśleć pozach, nie troszcząc się o estetyczność, ani przyzwoitość Są pomiędzy niemi piękności, które się bawią niedźwiedziami, jak ś. p. Leda bawiła się z łabędziem. Owoż trzeba wiedzieć, że dzisiejsza wystawa, ku uciesze gapiów, na których Paryżowi nie zbywa, bo do nich każdy episier, szukający w niedzielę bezpłatnej, a przynajmniej taniej rozrywki, należy — obdarza publiczność widokiem dwóch dużych malowideł, wyobrażających nic innego, jak kilka głów oślich, wystających jakby z po za żłobu i ciekawie patrzących się przed siebie, niby na publiczność w ciekawości swej nie wiele od nich się różniącej. Jakoż liczne są zawsze przed temi dwoma malowidłami tłumy. Jaki zamiar miał malarz dając na wystawę podobne utwory? jaką myślą kierował się przystępując do ich wykonania? Nie wiem. Zrobię tylko uwagę, że jeżeli wolno dziwaczyć gienjuszowi i wielkiemu talentowi, to nic podobnego nie wolno pretensjonalnej bezdarności, lub poziomego lotu mierności. A powiadam tak nie dla tego, ażebym był zwolennikiem rodowych przywilejów; ale dla tego, że sam błąd genjuszu ma jeszcze w sobie coś wielkiego, gdy tymczasem błąd mierności nie może być czem innem, jak płaskością. Co się tyczy nagich kobiet, to tych więcej jest na tegorocznej wystawie, niżeli na wszystkich, które znam z lat poprzednich. Reprezentowana tu nagość nie jest ową nagością klasyczną, poważną spokojem, niewinną układem ciała, idealną harmonią linij rozbrajającą zmysły, nie dozwalającą spaść człowiekowi z wysokości artystycznego zadowolenia do zmysłowej lubości... Przeciwnie, jestto nagość rażąca przedewszystkiem powszednością form i obrachowanym na uliczne namiętności układem ciała; jestto nagość, do której wzorów szukano na bruku Paryża, kopiując je z cyniczną dokładnością; nagość zresztą, która bardzo przypada do gustu sangwinicznemu mieszkańcowi stolicy mody i rewolucyj, lubiącemu szukać wrażeń w tem, co zarywa coś ze szkandału lub zbrodni. — Jakoż dał tu dowód nie małego dowcipu autor pomienionej karykatury, umieszczając obok jednej z tych Led nowego czasu, zamiast łabędzia, białego, sybirskiego niedźwiedzia.

Po tych arcydziełach zapoznanych lub niepoznanych genjuszów, najwłaściwiej będzie przejść do malarstwa oficjalnego, którego główną cechę stanowi — dworactwo. Należą do niego portrety różnych dostojników państwa, na których twarzy widzisz urzędową godność, na piersiach szlify i ordery, ale nie dostrzegasz w oczach myśli, w rysach ich życia, i nie jesteś pewny, czy pod temi krzyżami bije serce ludzkie, czy w tem sercu gore miłość dla kraju i wiara w to, czem ludzkość żyje. Idą dalej parady wojskowe, między któremi nie brakuje nawet tych, które były uświetnione pobytem cara moskiewskiego i króla pruskiego. Dwa są obrazy tej treści. Następnie bitwy z czasów drugiego cesarstwa — dzieła urzędowego patrjotyzmu; płaskie i liche, jak i samo natchnienie, które je wydało. W końcu dworskie uroczystości, o których, by módz sądzić, trzeba być mistrzem ceremonji, i rozmaite sceny z życia osób wysoko postawionych, sceny, w których poziome pochlebstwo na zgarbiałych swych barkach usiłowało maluczkie cnoty wznieść do wysokości poświęcenia.

Dawszy w ten sposób ryczałtową odprawę wszystkiemu, co lubo stanowi większość wystawy, nie stanowi jej zaszczytu, a może tylko stanowić o przyszłych korzyściach pojedyńczych artystów... przystępujemy do poważnej strony wystawy, do tej jej części, która, jeżeli ani pod względem pomysłu nie wiele się różni od pierwszej, a często bywa nawet niższą od tej — świadczy przecież o pewnej godności charakteru artystów i stanowiska, jakie sobie obrali. Do tej poważnej części wystawy należą obrazy historyczne, portrety, obrazy rodzajowe, pejazaże i malarstwo religijne.

Ażeby malarstwo historyczne mogło kwitnąć, potrzeba innego nastroju umysłów, innych dążności wieku. W dzisiejszym czasie przemysłowych wynalazków, ekonomicznych reform, kiedy ludzkość cała zaprzątniona jest troską o chleb powszedni, o jutro niepewne — wieki minione, przeszłość zapadła, dalekiemi są tego, by mogły umysł ludzki żywo zajmować, by mogły rozbudzić w jego sercu ową tęsknotę poetyczną, co idealizuje rzeczywistość, co pozwala zapomnieć o warunkach dotykalnej rzeczywistości, a przejąć się fikcyjnemi i zżyć się z niemi. Czasom dzisiejszym przypada chyba malarstwo rodzajowe i pejzaże, jako jedyne, które, treścią i formą zgadzają się z sytuacją ludzkości i zdolne są oddać każdy moment jej życia, każdy ruch jej myśli, każdy objaw uczucia. Malarstwo rodzajowe — to powieść obyczajowa. Jak ta stanowi dziś całą literaturę — tak malarstwo rodzajowe powinno być jedynem na dziś polem popisu artystów, zbyt niewolniczo związanych z tem wszystkiem, co wchodzi w ślamazarną, ukrytą, niemniej wszakże zaciętą walkę powszedniego życia. — Mimo to jednak na wystawie tak samo nic nie znajdujemy z malarstwa rodzajowego, coby zasługiwało na dłuższe zastanowienie się i szczególne ocenienie, jak i w malarstwie historycznem.

Z ostatniej kategorji najwięcej zwracają na siebie uwagę, jak sądzę dla tego, że treścią wiążą się ściśle ze wspomnieniami wielkich bojów Napoleona 1go: Szarza kirysierów pod Waterlo, będąca ulustracją do ustępu „Nędzników“ W. Hugo, chociaż ustępowi temu w niczem niedorównywa, i Rozstrzelanie marszałka Neja, ofiary najnikczemniejszej zemsty legitymizmu nad bonapartyzmem. Z malarstwa rodzajowego zacytowałbym tu jeden tylko obraz, którego pomysł jest wielki, o ile może mieć prawo do tego tytułu rzecz wzięta z życia powszedniego, acz mająca doniosłość obszerną, bo w żywych rysach dotykająca sytuacyj całej warstwy społeczeństwa. Obraz ten niewielkich rozmiarów przedstawia lichą i ubogą stancyjkę na poddaszu, jakich tu w Paryżu mnóstwo, z oknem w dachu, którego spadzistość tworzy z pokoju nieregularną figurę geometryczną. Przy ścianie stoi ubogie łóżko żelazne, przy niem złamane krzesełko słomą wyplecione, obok nielepszy od krzesełka stół, na którym: kawałek chleba, nóż, i lichtarz z kawałkiem świecy. Na łóżku leży młody chłopiec, lat piętnastu najwięcej, w ubraniu wyrobnika. Twarz blada i mizerna od nędzy, przemawiającej do widza wszystkiemi szczegółami stancji i ubioru wyrobnika — oczy zapadłe, usta sine i ściśnione, z każdego rysu widać znużenie od ciężkiej i przechodzącej siły młodociane pracy. Patrząc na tę postać młodziuchną, zestarzałą wprzód nim podrosła, przeczuwasz, że w tych piersiach zapadłych kryje się zaród bliskiej śmierci, że jest to ofiara nieszczęśliwa pracy, która będąc koniecznym warunkiem życia, postępu i doskonałości ludzkiej, może przecież stać się trucizną powoli zabijającą, każdą godziną życia o jedną minutę skracającą. Kto zdolnym jest wpatrzyć się w ten niewielki obraz, żadnym artyzmem nieodznaczający się, ten zdoła też zrozumieć wszystkie pobudki, jakiemi się kierują socjaliści, ten potrafi, potępiając w nich błędy rozumu, uczcić intencje i oddać należną pochwałę uczuciom, które nakłoniły ich do szukania lekarstwa na cierpienia ludzkości w tem, co zapewniając jednostce spokój i dobrobyt, odziera ją z wolności, co ludzkość całą zamieniając w klasztorną kongregację, zamyka przed nią drogę postępu, otacza ją nieprzekraczalnym murem chińskiej stagnacji. — Obrazek ten bowiem, to żywy obraz położenia wyrobniczej klasy, uginającej się pod tyranią kapitału, upadającej pod jego ciężarem i niemającej dość sił do walczenia z nim. Całe znaczenie moralne tego obrazka da się zrozumieć tylko tu w Paryżu, i tylko przez tego, kto lubo się obeznał ze szczegółami paryzkiej nędzy, nie przestała go ona przecież razić, i każdym razem, gdy ukaże mu swe sine oblicze, żywym przejmuje go bolem i smutne myśli nasuwa. To też znać, że albo francuzi nadto już przyzwyczaili swój wzrok do widoku nędzy, nadto swe serce zahartowali w tej piekielnej atmosferze konkurencji, gdzie przemoc jest prawem; albo dla tego, by myśl jaka mogła trafić do ich duszy i zrobić na niej wrażenie, musi się przystroić wprzód, jak salonowa kokieta, lub przemawiać do nich zbłazeńska. Nie tylko bowiem nikt nie zatrzymuje się dłużej przed tą prawdą życia pisaną łzami w obrazie, ale nawet nikt okiem nie raczy go obrzucić, przechodząc mimo i śpiesząc, kędy cyniczna nagość wabi swemi wdziękami nieestetycznemi.

Religijne malarstwo, lubo pod względem liczby znaczne zajmuje miejsce w tegorocznej wystawie — pod względem jakości niczem się nie wyróżnia z pośród masy. I potrzeba wyznać, że jeżeli kiedy, to właśnie w chwili, gdy się jest w możności obejrzeć naraz całą produkcję religijnego kierunku z danego momentu, przychodzi się do głębokiego przekonania, że dla malarstwa religijnego czasy minęły niepowrotnie. Mogło ono stanąć wysoko w wiekach średnich, a przynajmniej w czasach, kiedy religja jaskrawym blaskiem świecąc ludzkości, przyćmiewała inne strony życia ludzkiego, kiedy kupiąc około siebie wszystkie wydarzenia czasu, nadając im moc, potęgę, była nito gwiazdą biegunową dla całej sfery działalności ludzkiej; kiedy myślą, sercem i wolą ciężąc człowiek do religji, jak wszelkie ciało do środkowego punktu ziemi, zdolnym był oderwać się od życia, stworzyć sobie świat własny, osobny, abstrakcyjny,

i w nim żyć, zatopiony w kontemplacji, wystarczający sobie... Dzisiaj nie te są czasy, dzisiaj religja straciła swe bezwględne stanowisko, zniewoloną została zespolić się z życiem i w niem szukać celu swego i swego, że tak powiem, uprawnienia. Dzisiaj oddawanie się religijnym kontemplacjom ani jest możliwem ani godziwem; dzisiaj zrywanie z życiem dla względów religijnych, w imie ich targanie się na warunki życia i gardzenie potrzebami czasu tolerowanemi być nie mogą i nie powinny. Życie — to ognisko, które jednoczy wydarzenia dzisiejszego czasu. Nauka i praca, badanie praw natury i warunków ludzkiego bytu, przeprowadzenie zdobytych na tej drodze prawd w życie, w praktykę — to są gwiazdy, przewodniczące dzisiejszej ludzkości! I jeżeli gdzie, to we Francji ani się da pojąć, jak może prosperować malarstwo religijne. Bo chociaż Francja jest więcej, jak inne państwa katolicką, ale mniej jest od nich religijną. Forma, przesadność kultu zabiły tu ducha wiary. I jeżeli z jednej strony panuje oschły, fanatyczny bigotyzm, oddający w ręce najwsteczniejszego kleru masy ludności, to z drugiej coraz większy robi postęp pozytywizm i filozofja materjalna, i co zatem idzie — ateizm. Mimo to przecież nie brak artystów, którzy kierując się, nie wiem jakiemi widokami, poświęcają swe siły przedmiotom, w które nie wierzą, oddają się niewdzięcznej pracy, która jeżeli im przyniesie w zysku zarobek pieniężny, to nigdy sławę. Jakoż dość przejść się po wystawie i przypatrzyć kilku pierwszym lepszym obrazom religijnej treści, by się przekonać, jak wyglądają madonny malowane przez ateuszów, jakie wrażenie robi na człowieku Chrystus ukrzyżowany, wykonany dłonią jakiegoś pozytywisty. Spojrzmy na ową Magdalenę „rozklęczoną i rozmodloną“ jakby powiedział Krasiński. Jest że to owa pokutująca grzesznica z ewangelji? Patrząc na te członki lubieżnie ułożone, na te oczy pałające namiętnością, można powiedzieć, że kobieta ta, jeżeli zapomniała o czem, to nie o grzechach swoich, jeżeli czuje wstręt do czego, to nie do grzechów swoich!... Tak, to grzesznica, ale niepoprawna; to grzesznica, ale chyba z musu pokutująca, jeżeli już symbolem pokuty ma być koniecznie konwencjonalna głowa trupia u je nóg leżąca. Mamy oto nieopodal św. Sebastjana uwiązanego do drzewa, poranionego, ociekłego krwią, z tkwiącemi w ciele strzałami. Ma to być święty, a ściśle rzecz biorąc, nie można w nim nawet człowieka widzieć. Jestto lalka bez życia. Artyście chciało się nadać twarzy ów spokój ducha, który wyrabia wiara w świętość idei, spokój pokonywający cierpienia ciała. By w chwili śmierci stanąć duchem na tej wysokości, nie potrzeba być koniecznie świętym w znaczeniu religijnem; każda dusza szlachetna i hartowna, każde serce zdolnem jest do wzniesienia się nad katusze ciała. To też niekoniecznie potrzeba być religjantem artyście, który chce wielkość takiego serca odwzorować — ale zato potrzeba mieć samemu podobne serce. Czy twórca obrazu św. Sebastjana jest ateuszem, tego nie wiem; ale że, zamiast twarzy, na której by spokój ducha był rozlany, dał św. Sebastjanowi oblicze bezmyślne idjoty, miałbym prawo o nim powiedzieć, że sam jest idjotą. Mamże jeszcze mówić o tych Chrystusach ukrzyżowanych, w których aż nadto dobitnie złamanemi rysami boleści przemawia o sobie natura ludzka, a zgoła nic nie ma, coby powiadało o boskiej? — o tych madonach z obliczem powszedniej kobiety, które nie tylko na matkę Boga, ale nawet na matkę wielkiego człowieka nie zdałyby się?!...

Między pejzażami i portretami są niektóre wcale dobre.

Oprócz malowideł są jeszcze rysunki odręczne, staloryty i rzeźba. Z ołówkowych robót zwróciła moją uwagę jedna szczególniej, gdzie artysta, jakiś republikanin, przyjaciel Włoch, przedstawia apoteozę Manina. I wiecież, jak sam Manin wygląda? Oto siedzącemu w obłokach, wśród rozmaitych mytologicznych i niemytologicznych postaci, mających nie wiem co oznaczać, wsadził śmiały artysta weneckiemu republikanowi okulary na nos, a na barki — frak. Manin we fraku i w okularach, z wieńcem laurowym na łysinie, wśród obłoków, wygląda przepysznie!

Rzeźba powszechnie więcej jest chwalona przez znawców, jak malarstwo. Przedewszystkiem zastanawia tu posąg marszałka Neja. Jestto fakt historyczny, że ów śmiały i zuchwały w boju marszałek, skazany na śmierć przez parów państwa za przejście do Napoleona, gdy ten powrócił z wyspy Elby — mając iść na plac egzekucji przywdział na się strój balowy i w tym stroju stawił się na śmierć. W balowym też stroju wystawia go artysta. Prawda historyczna na tem wygrywa, lecz czy prawda estetyczna nie traci? Jakoś nie widzi mi się, by w galowym stroju było coś, coby pięknem być miało, co by mogło zatem właściwie przedstawiać się, w rzeźbie szczególniej.

Z rodaków posłali na wystawę swe obrazy: Kapliński, niedawno zmarły Gorecki i Maliszewski.

Kończąc me uwagi o wystawie, powiem: że gdyby to była wystawa uczniów akademji sztuk pięknych, poddających pod sąd ogółu swoje studja — zasłużone mogłaby otrzymać pochwały; że, jeżeli sądzić o niej będziemy li z tego stanowiska, jakie faktycznie zajmuje, będąc instytucją zachęty — musimy być pobłażający i wyrozumiali; że, jeżeli sąd mój okaże się za surowy, to dla tego, że jak wystawa owa nie jest wystawą uczniów, ale artystów, a przynajmniej za takich uchodzących, którzy sięgają po laury, czyli prościej mówiąc, po medale i krzyże — tak również nie powinna być instytucją zachęty dla artystów, ale instytucją, któraby swemi wpływy oddziaływała na życie i obyczaje ogółu — jak na nie oddziaływa teatr.

Wł. Kozłowski.

Przegląd pism czasowych.

(Do nr. 30).

Gdy czytająca publiczność ochłonie z zapału, kiedy staje się wybredną w czytaniu i z niechęcią przyjmuje dziś to, co jeszcze wczoraj było dla niej pożądanem — znak to, że wieje wiatr niepomyślny dla literatury. Ponieważ jednak zło nigdy nie jest tego rodzaju, by mu zapobiedz nie można było, jest więc środek i na tę obojętność: miejsce książek zajmują dzienniki. Jak homeopatyczna kuracja bywa zbawienną tam, gdzie aleopatja dla jakich bądź powodów nie ma zastosowania; tak też i w tym razie zniechęcony książką czytelnik, w dzienniku homeopatycznie przyjmuje w siebie części uzdrawiające: pod nową formą dawny ma pokarm. Ale gdy i dzienniki przestaną interesować ospałą publiczność — wówczas chwytają się ostatniego środka jaki pozostał: oddziaływania na zmysły, za pomocą skierowania uczuć ku rozmiłowaniu się w pięknie. Rycina staje się bodźcem, drzeworyt zachętą do czytania — zjawia się ilustracja.

Taki jest początek pism ilustrowanych.

Rzuciła się do nich Warszawa, a za jej przykładem i Lwów podjął się wydawnictwa pism obrazkowych. Temu winniśmy ukazanie się na raz dwóch pism ilustrowanych we Lwowie, któremi są: „Tygodnik lwowski“ i „Strzecha“ pismo zeszytowe miesięczne.

Trudno o pismo któreby tyle przyrzekło w swym programacie, a tak słabo wywiązało się z zadania, jak **„Tygodnik lwowski“** zostający pod tąż samą redakcją co „Dzien lwow.“ Prospekt „Tygodnika“ dałby się chyba porównać z prospektem niezapomnianego „Postępu“ któren na szczęście postępu ustąpił dawno z działań widowni!... Wszystko w nim znajdziemy: artystów najsławniejszych, powieściopisarzy pierwszorzędnych, mężów zkądinąd sławy europejskiej... Zdawało się, że „Tygodnik“ stworzy nową erę w dziennikarstwie, że on mianowicie będzie tem pismem, jakiego nam potrzeba... Niestety! z pięknych zapowiedzi otrzymaliśmy w skutku — zupełne rozczarowanie!... Że ilustracje są złe — trudno o to obwiniać wydawnictwo: nie mamy zdolnych rysowników, zbywa nam na drzeworytnikach; wreszcie i drukarnie nasze nie mają potrzebnych pras do odbijania drzeworytów... Jest to dopiero próba, a więc doskonałością być nie może. Ale co usprawiedliwi redakcję, że przyrzekłszy tyle, tak słabe daje nam pismo literackie?... Powieść w „Tygodniku“ — to próbki studenckie, których honoru nie uratuje, zamieszczona powiastka Jeża... Poezje tego pisma jeżeli nie treścią, to formą przypominają pienia dziadów Częstochowskich. Rozbiory i krytyki istnieją tylko w prospekcie... o nauce nie ma wzmianki, chociaż zapowiedziano Wołowskiego i innych uczonych!... „Tygodnik“ nie jest wyrazem ruchu umysłowego w kraju; nie interesuje się tem, co się dzieje wewnątrz, nie sięga okiem na zewnątrz. Jego celem ostatecznym jest: być patrjotycznym, od winiety zacząwszy, ale patrjotycznym — frazesowo tylko. A z nas dość już szumnych wykrzykników! dziś potrzebujemy patrjotyzmu w czynie. Niechaj „Tygodnik“ odpowie powołaniu dziennika polskiego, niechaj korzyść rzeczywistą ogółowi przynosi, jak przyrzekł — a wówczas nazwiemy go pismem patrjotycznem, chociaż się nie będzie uciekał do figur retorycznych.

Każde z naszych pism utyka. Główną wszystkich wadą: wodnistość pochodząca z sił rozstrzelenia; kolumny muszą być zapełnione, ale materjałów braknie — dalejże, byle czem, zadrukować łamy! Nie mamy zdolnych redaktorów, takich którzy by talent pisarski łączyli z nauką — w skutek tego pisma mające być poważnemi, gorszą naiwnością i nieuctwem. Jednemu pismu zbywa na tem, drugiemu na owem; ale „Tygodnikowi“ braknie podobno na dobrej woli podniesienia się do nieimponującej wysokości pism innych, i jest on dzisiaj dziennikiem niezaprzeczenie najgorzej redagowanym. Gdy rzeczy dłużej tak potrwają „Tygodnik“ będzie musiał upaść, jeżeli, na wzór „Przyjaciela“ nie posiadają wszystkie złe pisma u nas przywileju do życia w stanie kwitnącym!...

A szkoda! bo już skoro raz wydaje się pismo — przy dobrej woli można by go mieć redagowanem należycie!

Kogoż nie gorszyła część humorystyczna „Tygodnika“? „Pszonka“ jego stał się tak sławnym, że do nieśmiertelności przejść może, jako dowód, iż mogą znajdować się ludzie, którzy bez skry dowcipu wrodzonego, śmieją się, chłoszczą satyrą nie wiedząc, że zamiast poprawy innych, sami siebie wystawiają na śmiech i szyderstwo!

Najlepszemi jeszcze są w „Tygodniku“ życiorysy pióra p. Widmana. Ale czy wybór osobistości zawsze był trafny? czy redakcją i pisarzem nie kierowały względy uboczne?... nie wiemy!... Obecnie drukuje „Tygodnik“ rodzaj powieści p. t. Renegat, autor której wyobrażenia nie ma o ludziach działających w jego powieści; ale pisze!... i Syn Bohdana — dramat hr. Starzeńskiego, którego pierwszy akt daje świadectwo — ubóstwa talentu dramatycznego w autorze. Już samo zatytułowanie „Syn“ dowodzi, że autor nie rozumi natury dramatu, bo jego bohater nie występuje samodzielnie, ale jako dodatek, część składowa innego bohatera: Bohdana... Kozacy zaś jego i sam Bohdan mówią — wprawdzie słowami hrabiego, nie mniej jednak mowa ta nie przystaje do chropowatej natury stepowych dzieci.

Pismo każde jest jak rola: im więcej w nią włożysz, tem jest cenniejszą sama w sobie i lepsze wydaje plony. Jak dla roli, tak też i dla pisma potrzebnym jest kapitał. Zrozumiano to w Warszawie, i dla tego pisma literackie cieszą się tam powodzeniem; nie zrozumiano u nas — mamy też słabe pisemka

Pismo każde, obok znacznych bardzo kosztów nakładu i administracji, potrzebuje drugie tyle, a nawet więcej na opłacenie współpracowników. W wieku tak bardzo materjalnym jak nasz, i Muzy mają apetyt, dla zaspokojenia którego potrzebnym jest — worek nie próżny!... Niepodobieństwem jest, ażeby pismo o siłach najlepszych, zdołało odrazu utrzymać się na swej wysokości jedynie z pieniędzy prenumeracyjnych. Najbardziej liczny udział czytelników nie zdoła pokryć narazie wszystkich wydatków pisma, do czego potrzebnym jest kapitał osobny. Wydawca mający ten rezerwowy pieniądz pozyska sobie wszystkich, bo autorów i czytelników! będzie miał wszystko, bo zyski co raz to większe, w miarę jak wydawnictwo jego będzie się stawać popularnem. Ale biada pismu, któremu do tkani przyszłości zabraknie złotej przędzy! Najlepsza zasnowa zginie marnie!... zabraknie złotej przędzy! Najlepsza zasnowa zginie marnie!... zamiast sympatji rodzą się kwasy; krzyk i łajania namiasto błogosławieństwa, i gdzie się spodziewano plonów obfitych, tam zjawia się — zupełna ruina.

Żadne z naszych pism nie ma tego *nervus rerum:* zakładowego kapitału; każde jest ograniczonem tylko na przedpłatę; każde w skutek tego kuleje, żadne nie może być pismem dobrem, bo za dobre rzeczy nie gorzej płacić potrzeba — i otoż mamy, co mamy — nic!... A tracą na tem wszyscy porówno: wydawcy rujnując się, autorowie nie mając chleba, publiczność zmuszona nic nie czytać, lub rzeczy mierne, literatura, kraj — że z dzieła prześwieca — ubóstwo.

Że nie mamy w sobie ducha spekulacyjnego najlepszym jest dowodem to, iż nie znalazł się dotychczas pomiędzy nami kapitalista, któren by na wzór warszawskich Ungrów, Glücksbergów założył pismo. Nie trudno by mi było dowieść, że jak tamci, tak i ten, zbierając pieniądze, mimowoli jeszcze zasłużył by się krajowi. Pierwszy kto z kapitałem przystąpi do wydawania pisma literackiego u nas, odrazu pozyska: wszystkich pisarzy, zabierze wszystkich czytelników, i będzie miał tę zasługę, że pozbawi życia nieudałe pisma, nie zysk, lecz stratę przynoszące krajowi.

Zdawało się, że człowiekiem, któren zrozumiał należycie interes i wyzyska nadającą się sposobność będzie p. Richter, wydawca **„Strzechy“**. Ajent dzienników niemieckich w Galicji, właściciel początkowo antykwarni, obecnie księgarni nie-

mieckiej i polskiej, p. R. zapatrywał się na rzecz przez się podejmowaną, jak na pieniężną spekulację. Za złe mu tego nie mamy, wykazawszy wyżej, że przedsiębiorstwo podobne nie małą korzyść ogólną przynieść by mogło... Zrozumiał i to p. R. że celu najskuteczniej dopiąć można wydając pismo ilustrowane. Musiało mu jednak zbywać na potrzebnym kapitale, bo do rzeczy wziął się nie należycie, stworzył dzieło połowiczne, nie dał nam pisma dobrego, i spotkać go musi los innych nakładców: straci kapitał włożony w przedsiębiorstwo, jeśli tylko „Strzecha“ nie będzie mu pomocną w interesach księgarskich...

Prawdziwą klęską naszą jest to, że wydawcy pism najczęściej nie pojmują: w czem leży prawdziwa wartość pisma? Byle kolumny były zapełnione — więcej nie żądają od swojego redaktora, którym może być w ich rozumieniu każden, kto tylko umie pisać i czytać, chociażby bez zbytecznej znajomości gramatyki... O tem, ażeby pismo miało jakąś wybitną tendencję, dążyło do czego — nie mają wyobrażenia! a może mieć go nie chcą hołdując słowom: „Błogosławieni ubodzy w duchu, albowiem ich jest królestwo niebieskie!...“ W skutek tego pismo staje się bladem, bezcelowem, poprostu: jest jako kosz redakcyjny, w którem pomięszane z sobą bezładnie: powieści z poezją, artykuły naukowe z fraszką... I pocóż wydawać podobne pisma? naco rujnować się? Czy dla przyjemności drukowania!... Mamy siedm zeszytów „Strzechy“ — istnienia jej siedm miesięcy... a niech też kto zdefinjuje: co to jest za pismo? Obrazkowe? nie! bo ilustracje w niem często bardzo są tego rodzaju, że jeśli nie grozę, to wzbudzają niesmak... Powieściowe?... Ale cóż obok powieści Bolesławity robią tacy „Biali i Czarni“ z którejto „powieści z życia litewskiego“ dość przytoczyć parę wierszy, ażeby mieć wyobrażenie o całości. Oto co czytamy u wstępu powieści: „Ponieważ było gorąco, które jeszcze bardziej zwiększało znużenie i krzątanie się koło gospodarki domowej (!) więc powiewem małej chusteczki z literą *A.* zmuszała spokojne powietrze do orzeźwiających na nią działań (!)

Wypowiedzenie nielada! Ale gdzie sens?...

Może „Strzecha“ uprawia poezję, idąc za sympatjami swego redaktora? Ale ktoby chciał skruszyć pióro i wierszów nie pisać wcale, niechaj czyta utwory poetyczne zamieszczone w tem piśmie. Naukowem nie jest, bo Zapiski z bibliografji polskiej naukowością nie są, i co to jest właściwie? do czego ma służyć? wielką mamy ochotę zapytać o to redakcję. A cóż to za Kronika, owe Z kraju i Ze świata?... Do czego ma służyć w piśmie miesięcznem to, co zaledwie znaleźć by mogło miejsce w dzienniku, lub pisemku niepretensjonalnem, pod ogólną rubryką Rozmaitości?...

Dalecy jesteśmy od zaprzeczenia, że „Strzecha“ nie ma w sobie rzeczy dobrych — są one; ale cały układ pisma, treść jego, wartość wewnętrzna jest mocno problematyczną. Widocznem jest, że redakcja nie umie, czy nie chce rozporządzić środkami, które ma pod ręką; nie stara się dać pismu pewną cechę wybitną, uczynić go podobnem do innych tego rodzaju publikacyj, których wzorów dostarczy dziennikarstwo niemieckie, francuzkie i inne. „Strzecha,“ jako pismo tylko powieściowe, nieoglądające się zbytnio na wartość zamieszczonych w niem utworów utrzymać się nie zdoła, bo pisma inne ubiegą ją z łatwością. „Strzecha“ może być publikacją zewszechmiar pożądaną, jeśli zacznie się interesować rzeczami poważniejszemi, podając je w formie chociażby najbardziej przystępnej. Na wzorach za granicą nie zbywa, a i warszawski „Wędrowiec“ w wielu rzeczach może pouczyć „Strzechę.“

„Opiekun polskich dzieci“ zostaje pod redakcją pana Stupnickiego; a tego dość, byśmy złe bardzo wyobrażenie mieli o losie dzieci pozostawionych takiej opiece. Do wszystkiego potrzeba mieć talent, ale oświecać młode umysły — o, jakże trudno, szanowny redaktorze „Opiekuna!...“

Przegląd nasz pism czasowych kończymy wzmianką o **„Chochliku“.** — Wzmianką tylko, bo nie wiemy: czy pismo to istnieje jeszcze, czyli skończyło swój żywot. W każdym razie przyznać mu potrzeba, że miało wielkie zalety: dowcip rzeczywisty, tendencje nieposzlakowane; trochę złośliwości właściwej Chochlikowi; wyborne ilustracje — i szczerze żałować należy, że wydanie tego pisemka nie może się raz już ustalić; gdyż niezawodnie pierwsze to pismo humorystyczne polskie, które dawało rękojmię, że odpowie zadaniu, nietracąc na zestawieniu go z podobnemi pismami za granicą.

Rozpoczynając niniejszy przegląd, nie przepuszczaliśmy, że złe istniejące z naszemi pismami, bardziej pogorszyć się może; a przecież tak się stało. „Dziennik literacki“ od chwili gdy z redakcji ustąpił pan Sztarkel, czynem dał dowód, że do nazwy dziennika literackiego polskiego prawa nie ma.

Najuboższe z naszych pism, jeszcze stara się kolumny swe zapełnić rzeczami ojczystemi, wiedząc, że to jest jego obowiązkiem — a dziennik zowiący się literackim, na swem czele zamieszcza powieść tłumaczoną?!... Od czasu istnienia „Dziennika literackiego“ pierwszy to raz widzimy go tak biednym, że się uciekać musi do przekładów. Co dla niemców pisano o Polu, to „Dziennik literacki“ w tłumaczeniu podaje nam polakom, jak gdybyśmy raz pierwszy słyszeli o tym poecie!... Co pisarz francuzki dał swym rodakom jako ostrą satyrę, to znów tenże „Dziennik“ podaje nam namiasto rzeczy ojczystej... Szkoda, szkoda dobrej sławy pisma, którą tak dzisiaj zdyskredytowano! Pytamy: jakiemi mają być pisma inne, gdy dziennik literatów jest takim jak dzisiaj? Czemże pisma inne mają się zapełniać gdy „Dziennik literacki“ na czele dziś ma powieść, od której lepszą, w roku zeszłym, zaledwie odważył się dać w „Dodatku?!...“ Zaprawdę! trzeba mieć wiele odwagi, by się na takim „Dzienniku literackim“ podpisać jako jego redaktor, a dużo zaparcia się — być jego współpracownikiem dzisiaj!...

„Kalina“ ukończywszy druk interesującej powieści pod tytułem „Syrena“ drukuje obecnie powieść nową. „Artur Grotger“ ustęp z dziejów sztuki, rzecz opowiadana ładnie, jak słyszeliśmy ma się ukazać w osobnym oddruku.

Rozmaitości.

* W Królestwie dają przedstawienia dramatyczne następujące towarzystwa prowincjonalne: Raszowskiego złożone z 14 osób; Okońskiego z 12; Ratajewicza z 18; Trapszy z 20; Stopińskiego z 10; Sulikowskiego z 15; Karmantrana z 14; Modzelewskiego z 15; i Russanowskiego dające przedstawienia w ogródkach warszawskich.

* Od miesiąca zapowiadany koncert p. Niedzielskiego, odbył się przy nielicznym udziale publiczności. Dla naszych melomanów potrzeba wiele, ażeby zapełnili salę!...

Koncert p. N. nie należy do najświetniejszych; wybór rzeczy, układ koncertu — pozostawiały wiele do życzenia. Najprzykrzejszem było dla nas to, że koncertant sam polak, dla polaków śpiewał — po niemiecku... Czy to nasz język tak bardzo jest ubogim, tak mało dźwięcznym, że nie wystarczał p. N?... W domu u siebie mamy prawo wymagać, by nam nie narzucano obczyzny, której i tak jest podostatkiem!

Koncertant ma głos przyjemny, chociaż słaby, a głównie niewyrobiony; odśpiewane przez niego piosenki podobały się, a „Pieśń cygańską“ Mikulego musiał powtórzyć, na żądanie publiczności.

Z udział biorących osób w koncercie, wspomnieć należy młodziutką pannę A. R., która poprawnie, chociaż nieśmiało, odegrała ze swym nauczycielem panem Markiem, Thalberga fantazję z *Normy*.

Panna K. milutko odśpiewała *romancę* Donizetti'ego. Śpiew p. Müllera i tym razem nie podobał się nam wcale. Głos pozbawiony świeżości, bez dźwięku, tylko na uprzedzonych może wywierać wrażenie.

* Rok bieżący obfituje w majówki. Ostatnia którą może zapóźno wyprawiła młodzież handlowa, odznaczała się przed innemi świetnością prawdziwie niecodzienną. Na polanie w lesie Krzywczyckim zebrało się kilka tysięcy ludności, przeważnie mieszczan, by wziąść udział w zabawie, którą głównie reprezentowały tańce. Około pięciuset par odtańczyło kadryla, którego porządne prowadzenie zdumiewało, biorąc na uwagę liczbę uczęstniczących; następnie ochoczy mazur podzielił tańczących na dwa koła — zupełnie zadowolonych, gdyby nie kurz, któren nieuniknienie powstać musiał. Piękne ognie sztuczne zakończyły zabawę o godzinie 10. w nocy. Przy blasku pochodni i ogni bengalskich udało się kilkotysięczne towarzystwo pieszo z powrotem. Łyczakowskie było miejscem rozejścia się uczęstników zabawy, którzy żegnali się nadzieją, iż rok przyszły nie odmówi im podobnejże, a może i lepszej uciechy!

* Zakład naukowo-pedagogiczny panny Heleny Pożakowskiej należy do pierwszorzędnych we Lwowie, tak dla znacznej ilości uczennic, jak i dla tego, że ma jedyny w stolicy kurs przygotowawczy kandydatek na nauczycielki.

Popis publiczny, który się odbył 28. b. m. w obecności delegatów władzy szkolnej i znacznej liczby publiczności, zostanie na zawsze chlubą Zakładu, któren zdołał w krótkim czasie zająć tak szczytne, dla swych zalet, stanowisko.

Przedmioty szkolne, języki, religja, historja, geografja, pedagogja, literatura i estetyka — na zadawane pytania z tych przedmiotów odpowiadały uczennice przytomnie, z pewnością, którą odznacza dokładna znajomość przedmiotu, i co główna: swą odpowiedzią składały żywy dowód, że nie bezmyślne wyuczanie formułek, ale rozwój umysłowy miano głównie na względzie — co chlubnie świadczy o systemie nauczania przyjętym przez Zakład panny Pożakowskiej. Tylko taką drogą najprędzej i najskuteczniej można dojść do urzeczywistnienia celów pedagogicznych.

Pytania na ekzaminie były zadawane uczennicom przez nauczycieli i obecnych przy popisie, a wszyscy jednogłośnie przyznali, że nie ubocznemi względy, ale w wyrokowaniu o postępach uczennic kierował się Zakład bezwzględną sprawiedliwością.

Ekzamen trwał bez przerwy od godziny 3. do 8., zakończony uroczystem rozdawaniem nagród.

Prawdziwie rozrzewniającym był widok, gdy rodzice składali podziękę przełożonej i nauczycielom; łzy wdzięczności mieszały się tu ze łzami wesela panien nagrodzonych, których znaczną liczbę dostarczyły każda z sześciu klas Zakładu. Panny O. Mierzwieńska, T. Zieniewicz, M. Twardowska i H. Dziubińska, ukończywszy kurs pedagogiczny, w tych dniach mają składać ekzamen na nauczycielki, przed komisją specjalnie na ten cel wyznaczoną.

Poznawszy należycie wartość Zakładu naukowo wychowawczego panny Pożakowskiej, nie wahamy się polecić go rodzicom pragnącym umieścić swe dzieci w którym z Zakładów w Stolicy.

* W Cieszynie wyszedł pierwszy numer tygodnika politycznego „dla zachowania interesów ojczyzny“ (?) p. t. „Nowiny Ślązkie.“

Za hasło mają Nowiny: „Wolność i praca!“ z dodatkiem u góry słowa, zapewne także ojczystego: *Probenummer*. Jest to pismo, którem niemcy starają się sparaliżować wpływ „Gwiazdki Cieszyńskiej“ już przez to samo zasługującej, by ją popierać jak najusilniej.

* *Po śmierci*, komedja Br. Komorowskiego, którą zamieściliśmy w naszem piśmie, była przedstawioną z wielkiem powodzeniem w Tarnowie dnia 21. czerwca. Teatr Sztengla, jak widzimy, nie ustaje w staraniu pozyskiwaniа dla się utworów nowych, i w przedstawieniu ich, jak dotychczas wyprzedza teatra stołeczne.

* Oto co pisze „Dziennik Poznański“ o wykładach popularnych Łucjana Tatomira, które w osobnej odbitce wyszły p. t. O królu Kazimierzu wielkim: „Powyższe dzieło napisane jasno i popularnie, przedstawia nam piękny i zajmujący obraz dziejów króla chłopków; ma zaś tę nieocenioną zasługę przed innemi dziełami, pojawiającemi się w piśmiennictwie naszem z prawem do „popularnego wykładu“ że nie polega na subjektywnem zapatrywaniu autora, że nie przedstawia faktów często źle pojętą tendencją skrzywionych; ale przywodzi je w prawdzie historycznej. Autor, co także należy podnieść i uznać, uwzględnił społeczne stosunki Europy, które w krótkich zarysach maluje. Na samym początku dzieła daje krótki, ale treściwy obraz rządów pierwszych Piastów, i rozpisawszy się nieco obszerniej o kolejach życia i zasługach króla Łokietka, przechodzi do opowiadania dziejów Kazimierza W.

Stanowisko historyczne Kazimierza W. w dziejach naszych jest bardzo pięknie i trafnie zcharakteryzowane: „Wielki król kmieci — pisze autor — zamknął na zawsze księgę koronną dziejów Polski, i oddał ster nawy ojczystej w ręce usamowolnionego narodu“. Gdyby w Niemczech pojawiło się dziełko o Hohenstaufach tak pięknie i zarazem tak umiętnie i krytycznie napisane, jak powyższe dziełko Łucjana Tatomira, rozeszło by się w tysiącach egzemplarzy, i byłoby w ręku każdej rodziny.“

P. Tatomir został powołany przez Radę szkolną do zasiadania w komisji ustanowionej dla przejrzenia ksiąg szkolnych.

* Słowo o pułku Igora stary zabytek piśmienny ruski, po raz drugi został 'przetłumaczonym na język ukraińsko-ruski. Pierwszym tłumaczem „Słowa“ był Maksymowicz; Szewczenko zostawił mistrzowskie ustępy tłumaczone; obecnie zruszczył „Słowo“ J. Fed'kowicz poeta, mieszkający na Bukowinie. Przekład ten w sierpniu opuści prasę drukarską.

* „Skarb znaleziony“. We wsi Ułaszkowcach, w powiecie czortkowskim, znaleziono wielką ilość starych monet. Szczęśliwym znalazcą był włościanin budujący sobie chatę. Skarb był przechowany w garnku glinianym, składał się on ze starych srebrnych monet polskich z lat 1617, 25 i 26 z popiersiem Zygmunta III. Monety, z wyjątkiem kilkunastu sztuk, są wielkości teraźniejszych dziesiątków austrjackich, dawniejszych cwancygierów i dwuzłotówek polskich; między większemi talarami jest jedna sztuka z popiersiem króla Ferdynanda na jednej stronie, na drugiej odbity jest herb miasta Gdańska z napisem: *Moneta civit. Gdansc.* z 1572.

* „Kurjer de St. Francisco“ donosi, że w Todos-Santos, w niższej Kalifornji mieszka człowiek mający lat 124. Starzec ten, któremu na imię Szymon Avilos, przed stu laty służył w armji hiszpańskiej. Był szeregowcem gwardji, która towarzyszyła O. Juniperze Sarro do Wyższej Kalifornji; przy nim to wzniesiono krzyż Chrystusów w San-Diego. Mimo pięć ćwierci wieku, które spoczywają na jego barkach, Szymon Avilos pamięci nie utracił i ma się doskonale jakby liczył niespełna lat 40.

* Oświecenie gazem w wagonach kolei żelaznych. Angielska kompanja południowo-wschodniej kolei żelaznej zrobiła ostatniemi czasy próbę odpowiedniejszego oświecenia gazem wagonów; skutkiem tego używane dawniej, przymocowane do wagonów z rzeczami kauczukowe wory, przeznaczone do przechowywania potrzebnego gazu, zostały zastąpione żelaznemi rezerwoarami, umieszczonemi pojedyńczo pod podłogą każdego wagonu. Rezerwoar gazowy składa się z walcowatego naczynia z żelaza kutego, długiego na $9\frac{1}{4}$ stóp, a $1\frac{1}{4}$ stopy mającego średnicy, do którego wprowadza się gaz w objętości 120 stóp na cal kwadratowy. Dla uregulowania zużywającego się gazu każdy rożek zaopatrzony jest w klapę, która działa sama przez się. Odbyte doświadczenia okazały się tak dalece zadawalającemi, że nowe urządzenie to oświecenia gazem do wielu już wagonów zastosowanem zostało. Gaz palił się bardzo jasno i równo pomimo szybkości jazdy i mocnych wstrząśnień.

* Zamachy na życie panujących. W chwili, gdy śmierć ks. Michała serbskiego z rąk skrytobójców zajmuje świat polityczny, dzienniki podają statystykę zamachów na życia panujących w ciągu lat dwudziestu, t. j. od roku 1848. Było ich dotąd wiadowych 21, z tych trzy zakończone śmiercią ofiar, jakoto: na ks. Parmeńskiego, na prezydenta Lincolna i na ks. Michała serbskiego. W liczbę tę nie wchodzi śmierć cesarza Maksymiliana. Zamachy pomienione wymieniamy koleją dat:

26. listopada 1848 zamach na Franciszka V. księcia modeńskiego.

12. czerwca 1849 zamach w Minden na ówczesnego królewicza, dziś króla Wilhelma pruskiego.

22. maja 1850 artylerzysta Sefeloge strzelił do Fryderyka Wilhelma IV. króla pruskiego i zranił go w prawe ramię.

28. czerwca 1850 były porucznik Robert Pate uderzył w głowę grubym kijem królowę Wiktorję angielską.

24. września 1852 odkryto w Marsylji machinę piekielną, którą miano nazajutrz wysadzić podczas przejazdu Napoleona III.

18. lutego 1853 Jan Libenyi ugodził nożem cesarza Franciszka austrjackiego i zranił go w szyję.

16. kwietnia 1853 hrabia Cavour zawiadomił Izbę deputowanych o zamachu na życie króla Wiktora Emanuela.

5. lipca 1854 zrobiono w Paryżu zamach na życie Napoleona III. kiedy tenże jechał do teatru „Opera comique."

20. marca 1854 niewiadomy morderca rozpłatał nożem brzuch księciu Ferdynandowi Karolowi III. parmezańskiemu, ktoren nazajutrz umarł.

28. kwietnia 1855 Jan Liverari strzelił dwa razy z pistoletu do Napoleona III.

28. maja 1856 O. Rajmund Fuentes wymierzył pistolet na królowę Izabelę hiszpańską, lecz w tej chwili ajent policyjny chwycił go za ramię i rozbroił.

8. grudnia 1856 żołnierz Agesilaus Milano rzucił się podczas przeglądu wojska z bagnetem w ręku na króla Ferdynadna II. neapolitańskiego.

7. sierpnia 1857 Bartoletti, Tibaldi i Grillo, przybywszy z Anglji do Paryża, w zamiarze zabicia Napoleona III., zostali skazani.

14. stycznia 1858 Orsini, Rudio, Pieri i Gomez rzucili bomby pod pojazd, w którym siedział Napolon III. z cesarzową Eugenią; wiele osób z orszaku cesarskiego i z przechodniów zostało zabitych i ranionych.

14. lipca 1861 Oskar Becker strzelił dwukrotnie z pistoletu w Baden-Baden do króla Wilhelma I. pruskiego.

18. grudnia 1862 Arystides Drusios dał ognia z krucicy do królowej Amalji greckiej.

24. grudnia 1863 aresztowani zostali w Paryżu po przybyciu z Londynu: Greco, Trabucci, Imperatore i Scaglione w zamiarze zabicia Napoleona III.

14. kwietnia 1865 Wilkes Booth zabił wystrzałem z pistoletu prezydenta Stanów Zjednoczonych, Abrahama Lincolna, w loży teatralnej w Washingtonie.

6. kwietnia 1866 Karakozów zrobił zamach w Petersburgu na życie cara Aleksandra, wymierzywszy do niego z pistoletu.

6. czerwca 1867 Antoni Berezowski strzelił z pistoletu do cara Aleksandra podczas jego pobytu w Paryżu.

10. czerwca 1868 zginął od kul książę Michał Serbski w Topczydre.

* Statystyka pism perjodycznych. Liczba pism perjodycznych w danej miejscowości jest niewątpliwie miarą stanu umysłowego mieszkańców, dzienniki bowiem rozszerzając najświeższe wiadomości wywierają niepomierny też wpływ na oświatę i mnożą liczbę czytających, a tem samem chciwych wiedzy. Znany statysta Balbi na podstawach mniej więcej prawnych przedstawia okres ostatnich lat pięćdziesięciu w sposób następujący: W roku 1816 liczba pism perjodycznych we wszystkich częściach świata dochodziła do liczby 3168. Cyfra ta na części świata w stosunku do ludności tak się rozdziela:

	ludność	pism perjodycznych
Europa	207,750.000	2142
Ameryka	39,000.000	978
Azja	390,000.000	27
Afryka	60,000.000	12
Australja	12,000.000	9
	Razem	3168

Od roku 1816 do 1866 liczba pism perjodycznych zwiększyła się prawie cztery razy, t. j. doszła do 12.500. Z tego na Europę przypada 7000 pism, na Amerykę 5000, przeszło 500 na Azję, Afrykę i Oceanią. Z liczby 5000 pism perjodycznych wydawanych w Ameryce, 4000 przypada na Stany Zjednoczone. W koloniach angielskich dziennikarstwo niezmiernie szybko się rozwija. I tak: w Wiktorji, niezależnej kolonji, założonej w roku 1851, wychodzi już do 100 pism; w Melburn wychodzi dzienników codziennych 3, tygodniowych 31, 10 wychodzących dwa razy na miesiąc, jedno pismo raz na cztery miesiące i jedno na rok.

* Pan Walery Eliasz z Krakowa opisuje w „Dzienniku Poznańskiem" starożytny obchód świętojański „Wianków", sięgający jeszcze czasów pogańskich, a który za wprowadzeniem chrześcijaństwa zastosowano do wiary nowej. Obchód ten fantastyczny odbywa się w sposób następujący: Wiją dziewczęta wianki z kwiatów, rzucają równocześnie na najbliższy strumień lub rzekę, a której wianek najchyżej odbiegnie swoich towarzyszów, lub czyj chłopiec schwyci, ta sobie wróży, że naprzód pójdzie za mąż. Bywają w tych wiankach pozamieszczane kartki z napisami, z wierszami, stosowne do okoliczności a odpowiednie dowcipowi właścicielki wianka; często młodzież w uchwyconych wiankach znajduje wesołe, ironiczne słowa, mieszczące w sobie docinki niewieście męzkiemu rodzajowi. Wieczorem rzucane wianki bywają ozdobniejsze, pokładzione na deszczułkach, a żarzące się światłem, często kolorowem, odbijają się w wodzie, tworząc uroczy widok błyskoczących się ogników, co się wyścigają, zależąc od pędu lub wiru wody. Na wsiach cicho, czasem w tajemnicy puszczają dziewczęta wianki na wodę; ale w miastach obchód ten olbrzymieje, łącząc siły młodzieży obojej płci, a ludność tłumnie zalega przy rzece miejsce na ten obchód uprzywilejowane; do późna w nocy słychać gwar zgromadzonej rzeszy. W Krakowie, w skarbcu pamiątek i zwyczajów narodowych, ludność bardzo uroczyście święci obchód świętojański. Zachodzące słońce wyciąga ludzi z domu; roją się drogi wiodące na Podzamcze, a zmrok brzegi Wisły u stóp Wawelu zastaje najzupełniej pokryte ludźmi wszystkich stanów. Łodzi mnóstwo snuje się po Wiśle, zewsząd dolatuje gwar wesoły, wianki płyną jak ogniki po powierzchni wody, a rzadko któremu uda się umknąć pogoni chłopców, aby popłynąć ku rybakom. Ognie sztuczne dodają świetności, a galarami od Zwierzyńca przypływające grona śpiewaków, z kolorowemi latarniami, uzupełniają ten fantastyczny obchód. W powietrzu rozlegają się śpiewy, woda je daleko roznosi do uszów rzeszy nadbrzeżnej, która zadowolenie głośno objawiać zwykła. Gdy księżyc ukaże się na niebie i oświeci te masy ludu, Wisłę, Wawel, mogiłę Kościuszki, ztąd dobrze widną, to już nie ma duszy tak prozaicznej, aby ją taki obchód nie zachwycił i nie nastroił poetycznie. Świetność obchodu tego zależy od ogólnego usposobienia ludności. Tak nowe i modne miasto, jak Warszawa, a przecież święci ten zwyczaj, chociaż po swojemu, wyległszy na most na Wiśle i przy odgłosie muzyki wojskowej przechadzając się, lustruje siebie i swoje stroje.

TREŚĆ:

Wydawca i odpowiedzialny za redakcję Kornel Piller. Druk Kornela Pillera.